KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM
POLITYCZNO-SPOŁECZNYM
I LITERACKO-ARTYSTYCZNYM

ROCZNIK IV

K R A K Ó W 1 8 9 9

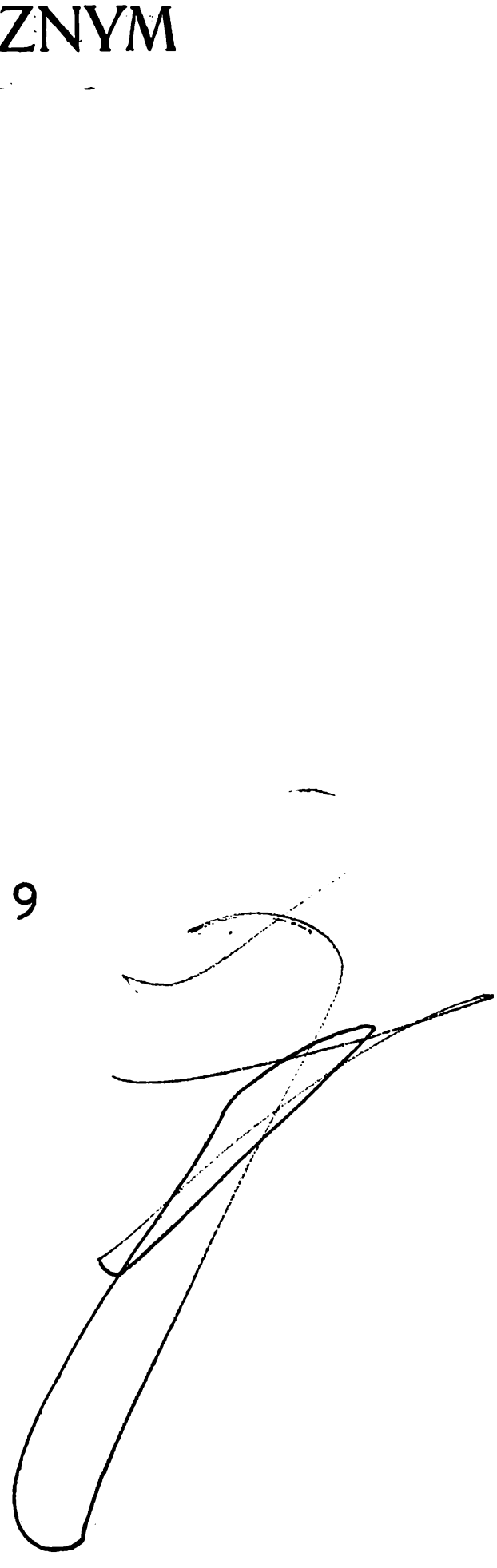

V-490

T R E Ś Ć .

ARTYKUŁY POLITYCZNE:

Nasza polityka. Ign.Daszyński 1
O sejmie i kraju. Poseł F.Winkowski 49
113
Kilka słów o walce narodowościowej
w Austryi. Żegota 181
Babie lato. Żegota 249
§ 14. Żegota 297
Znachorzy. Żegota 417
Skazaniec polityczny. Fr.Czerski . 6

ARTYKUŁY SPOŁECZNO-NAUKOWE:

Internezzo. Wł.Kotwicz 14
Stręczenie pracy. K. Nacher 57
Rewizye zasad socyalizmu. Res .65,141
Proletaryzacya Galicji.W.Feldman 76,129
Ruch robotniczy w zagłębiu dąbro-
wieckim. St.Os..arz 122
Ludwik Büchner. Dr M.Massonius . . 151
Niepodległość Polski w programie
socyalistycznym. M.Luśnia . . . 187
Nędza Rosyi w cyfrach. Hannibal 196,260
Szkice psychologiczne. L.Winiarski 205
267.
Prawa wyjątkowe. Dr Z.Mirski . . . 253
Ewolucya polityczna Czech współ-
czesnych L.Wasilewski 304
Wielki przemysł w Królestwie Pol-
skim. Res 316
Stosunki polityczno-społeczne w za-
borze pruskim. St.Os..arz . . . 422
List w sprawie Dreyfusa. A.France . 361
Ubezpieczenia ochronne robotników
w Austryi. K.Nacher 365

Czynniki polityczne pod zaborem rosyjskim. St.Os..arz . . . 372
Przyczynki do charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego. J.Trąbczyński 436
Świeże prądy. S.Karski 473
Ważniejsze braki w ustawie o kasach dla chorych. K.Nacher . 482

ARTYKUŁY LITERACKIE:

Młoda Polska. J.Sten 21,85,163,276, 334,386,451, 490.
Z literatury obcej. M.Posner-Garfeinowa 28
Kilka słów o modernizmie. M.Posner-Garfeinowa 91, 225
Młoda Rosya. A.Neuwert-Nowaczyński 326
Anatol France. Malwina Posner-Garfeinowa 393

POEZYE i NOWELLE:

Rabi Pelaloj-Ben-Pedas. J.Żuławski (wiersz) 19
Codzienny gość. (wiersz) F.Eisenberg 27
Jutrznia (wiersz) A.Niemojewski 90
Osioł i bajkopis (bajka) W.Wolski109
Sonet. Z.Dębicki 151
Z cyklu "Karma" (wiersz). Filip Eisenberg 161
Niedowiarek. (Nowela) W.Orkan . 174
Fragment (wiersz) F.Nowicki . . 212
Spóźniony śpiewak (wiersz) K.Tetmajer 215
Z poematu "Na szczycie" (wiersz) K.Tetmajer 215
Przy lutni (wiersz).A.Niemojewski217
Lelewel (wyjątki z dramatu) St. Wyspiański 218

Rabi Jeroboam-Ben-Lapidoth.(wiersz)
J.Żuławski 220
W nocy. Świt. (sonety) W.Orkan . . . 221
Sonety. Z.Dębicki 222
Na sen wieczny. (wiersz) F.Eisenburg 223
Odi. (wiersz) J.Jedlicz 223
Sen Haskiela (nowella) J.Sten. . . . 240
Wiosenny wieczór. (nowella) W.Dalecka287
Prymicyant (nowella) J.Jedlicz . . 344
O zmierzchu. (nowella) W.Reymont . . 407
Sama samiuteńka (nowella,przekł.z rus)
Wasyl Stefanyk 413
Zdekłe. (gawęda tatrzańska)A.Stopka 416
Wysłaniec(z cyklu "Legendy",nowela)
A.Niemojewski 465
Bajka nie bajka (gawęda) A,Stopka . 471
Sanguina (nowella) Theresita 504
W sieci (nowela) J.Jedlicz 513

LUŻNE KARTKI:

(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Lwi pazur (List z Warszawy). ANiemojewski. - List ze Lwowa. X.- Krachy i szwindle. Z. - Przegląd teatralny) 33
(Z karowskiego bruku. Sotwaros. - List ze Lwowa. X. - Emigracya. Z. - przegląd teatralny) 97
(Z krakowskiego bruku. Sotwaros. - Miraże dla głodnych i łaknących. Z) 167
(Z krakowskiego bruku. U. - Narodowi katolicy.Z. 8 Przegląd teatralny. - Wspomnienie pośmiertne) 233
(Oryginalny jubileusz. - Przegląd teatralny Odezwa Komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego) 279
(Ogrób poety.Z. - List z Warszawy. A.N.) 339

(Okruchy. Far. - List z Warszawy A.N. - Z Goreców. W.O. - Przegląd teatralny) 400
(Za kulisami polityki.Z. - Antagonizmy M.Z. - List ze Lwowa. X. - Przegląd teatralny) 456
(Po wielkim procesie. X. - Dyktatura policyjna. - Komitet młodzieży) . . 495

Sprawozdania . . . . . .47,285.

ANATOL FRANCE.

LIST PROFESORA BERGERETA O SPRAWIE DREYFUSA.

Nie zabieraliśmy dotąd głosu o sprawie tej, która wstrząsnęła namiętnościami i sumieniem całego prawie świata. Postąpiliśmy zaś tak dlatego, że uważaliśmy i uważamy proces Dreyfusa za sprawę wewnętrzną Francyi, i jego doniosłość polityczna w pierwszym rzędzie tylko mieszkańców tego kraju obchodzi, a uwaga nasza w dziale społecznym skierowana jest przedewszystkiem na sprawy polskie. Ale niewątpliwie żaden proces polityczny w czasach spokojnych nie mógłby tak rozjątrzyć przeciw sobie warstw jednego narodu, gdyby nie weszły tu w grę głębsze i pierwotniejsze czynniki ducha ludzkiego. Mechanizm psychologiczny sprawy Dreyfusa jest rzeczą ogólno-ludzką, a zatem i nam nie może być obojętnym. Aby go wyświetlić, uczynimy najlepiej, dając głos jednemu z najoświeceńszych i najszlachetniejszych umysłów francuskich p. Anatolowi France. Niepospolity ten poeta, krytyk i powieściopisarz wydał w ostatnich czasach kilka powieści obyczajowych, które są kroniką współczesną Francyi (L'orme du Mail, Manequin d'osier, L'anneau d'améthyste). Wśród tłumu postaci, które tam wyprowadza, przesuwa się na pół ironicznie, na pół żałośnie uśmiechnięta postać profesora prowincyonalnego uniwersytetu p. Bergereta. Jestto wyrafinowana intelligencya sceptyczna, która rozumiejąc wszystko nie potępia nigdy, a „pogardzając nawet, roztkliwia się i rozrzewnia". Ta postać jest artystycznym ulubieńcem France'a w cyklu ostatnich powieści; w jej usta wkłada wszystkie swe myśli i uczucia. Również i przemawiając kilkakrotnie w pismach w sprawie Dreyfusa, czyni to France w kształcie listów, pisanych niby przez swego bohatera. To wyjaśnia tytuł artykułu.

Redakcya.

Kochany Panie! ma pan słuszność. Na równi z kłamstwami i fałszerstwami sprawę tę zagmatwały namiętności które rozniecila. Były to u wielu Francuzów namiętności prawdziwie religijne, o ile rozpatrywać będziemy religię w tem, co jest istotą i treścią jej ducha. Nazwisko Dreyfusa, nazwiska jego obrońców

i oskarżycieli oznaczały dla pewnych kół społecznych, gdzie życie umysłowe mało jest rozwinięte, nie osoby, nie istoty ludzkie, lecz dobrych i złych duchów, t. j. oznaczały figury i symbole wiary bardzo naiwnej, bardzo szczerej — wiary dualistycznej, jak wszystkie pierwotne objaśnienia natury. „L'Affaire“ stała się nadprzyrodzonem objawieniem, apokalipsą. Taki stan ducha nie sprzyja oczywiście przenikaniu prawdy racyonalnej; kto doznał bowiem objawień niebieskich, mało się troszczy o dowody naukowe. Gdyby nie ta okoliczność, sprawę Dreyfusa wyłożyćby można w trzydziestu wierszach i to tak jasno, że jeden tylko możnaby wysnuć z niej wniosek. Spróbuję uczynić to, zastępując tylko nazwiska, które stały się teologicznymi symbolami, przez inne, do których ziomkowie moi nie przywiązują przenośnego znaczenia. Oto faktyczny stan sprawy:

Żołnierz ateński, Filostrates, oskarżony jest przez swoich przełożonych o to, że wydał niektóre tajemnice wojskowe Tisafernesowi, satrapie króla perskiego. Oskarżenie oparto jedynie na liście, wystosowanym do Tisafarnesa i zawiądamiającym go, że otrzyma pewne, wyliczone przez piszącego tajemnice. Pewien denuncyant w służbie ateńskiej znajduje ten list w hełmie satrapy. Podejrzenia zwracają się przeciw Filostratesowi, ponieważ pismo w liście wykazuje niejakie podobieństwo z pismem tego żołnierza.

W następstwie wszakże stwierdzono, że list ten jest dziełem innego żołnierza, imieniem Melantios.

Bo w istocie:

1. List do Tisafernesa pismem swem przypomina odnalezione tymczasem prywatne listy Melantiosa.

2. Autor tego listu powiada, że nie ma wiadomości od satrapy, co jest jasne, o ile dotyczy takiego jak on żołnierza — żołnierza o stanowisku podrzędnem, który nie mógł więc oddać wielkich usług Tisafernesowi, lecz co jest niezrozumiałem, gdyby się ściągać miało do Filostratesa, gdyż ten znajdował się u źródła wszystkich tajemnic. Tisafernes nie zostawiałby go więc bez wiadomości.

3. Pierwsze zdanie listu uderza swym niepoprawnym zwrotem; ten sam zwrot spotyka się dosłownie w innym liście Melantiosa.

4. Wyszczególnienie tajemnic w liście do Tisafernesa zdradza pod wielu względami Melantiosa, a to mianowicie w pewnych niedokładnościach językowych, których bardziej wykształcony Filostrates nie mógłby się dopuścić.

5. Jeśli prawdą jest, że pewien świadek powtórzył słowa Filostratesa, w których dopatrywano wyznania winy, faktem jest również, że żołniez ten nie przestawał zapewniać o swojej niewinności. Nadto Melantios przyznał się sam. Melantios oówiadcza, że jest autorem listu do satrapy. Przyznanie to, wydarte siłą zbyt jaskrawej rzeczywistości, okraszone jest bajkami, które Melantios wymyślił, aby zmniejszyć swą hańbę.

6. Melantios, który uciekł i tuła się po dalekich wyspach, prowadził w Atenach życie rozpustne. Prześladowali go wierzyciele, krewni skarżyli o oszustwo. Tymczasem Filostrates wiódł żywot pracowity i cieszył się zamożnością.

Sprawiedliwem tedy jest, aby uznano Filostratesa za niewinnego.

Czy jednak winnym uznać należy Melantiosa? Niewątpliwie obciążają go poszlaki najpoważniejsze. A jednak należałoby jeszcze stwierdzić, czy istotnie wydał Tisafernesowi tajemnice w liście wymienione i czy nie chciał może zwieść satrapę, obiecując mu tylko zdradę, której nie dokonał.

Melantios może być winien wydania tajemnic wojska ateńskiego. Filostrates wszakże z wszelką pewnością winnym nie jest.

Oto jest istota „sprawy“. Zmieniłem tylko nazwiska, Zmieniłem je w tej słabej nadziei, że tą drogą umożliwię poznanie prawdy umysłom pobożnym, podległym autorytetowi wyznaniowemu — umysłom, które nie mogąc znieść niewinności Dreyfusa, nie będą może oburzone niewinnością Filostratesa i potrafią wreszcie uczynic zadość sprawiedliwości.

Sposób, jak w pewnych grupach społecznych powstała legenda o Dreyfusie, świadczy, że zdolność tworzenia mytów przejawia się nietylko w społeczeństwach pierwotnych, lecz trwa po wszystkie okresy cywilizacyi. Nie ulega wątpliwości, że przygotowali tę naiwną i okrutną baśń ludzie chytrzy i bardzo rzeczy świadomi. Przy początku tego nowego mytu odnajdujemy obfite przymieszki fałszu i szarlataństwa, które po wszystkie czasy wchodziły w skład wierzeń ludzkich. Lecz przymieszki tej nie znają dusze czyste, dusze wierzące. Nie ocenia się dostatecznie, jaki cudowny dar powiększania i przeistaczania rzeczywistości posiadają umysły prostacze. Nic ich nie wstrzymuje w rozpędzie, gdy poczną tworzyć swe fantasmagorye. Nie ma tam ani wahania, ani niepewności. Zbiorowa wyobraźnia tłumów ludzkich nie zna wątpliwości. Aby powstać mogła wątpliwość, niezbędną jest refleksya, a do tego wyobraźnia tłumu jest niezdolna. Wierzy natychmiast i wierzy silnie. Tej silnej

wierze zawdzięcza nieporównaną żywość swych prostych, niezłożonych pomysłów i tę moc ożywiania najniedorzeczniejszych swych tworów. Sprawa Dreyfusa jest bardzo wybitnym przykładem owej chimerycznej wyobraźniowej siły, istniejącej do dziś dnia w środowiskach ludzkich. Bajki, jakie na ten temat powstały w mroku myśli zbiorowej, przypominają ogromnie podania, czerpane z zamierzchłych czasów, ze starych poematów ludzkości. Są to te same naiwne pojęcia, ta sama okrutna naiwność, ta sama niewinność w rozwściekleniu i w srogości. Jest pewne tło ogólno-ludzkie, które odnajdujemy zawsze i wszędzie. Przypominam sobie rzecz, którą mi opowiadano, kiedy byłem dzieckiem, rzecz prawdziwą. Powtórzę ją Panu.

Jakób Miraut-Daussy, francuz, urodzony w początku tego wieku poświęcił życie swoje studyom nad sztuką chrześciańską i był jednym z pierwszych, którzy uczcili malarzy prerafaelitów. Płonąc świętym ogniem odbył pielgrzymkę do Włoch, podziwiał w Assyżu i Padwie ewangieliczne freski Giotta. Powiedzieć można, że odkrywał je nieledwie, od wieków bowiem zaginęły w prochu pogardy i zapomnienia. Nie było jeszcze podówczas kolei żelaznych i nie podziwiano wtedy tak wygodnie, jak dzisiaj. Jakób Miraut-Daussy prawdopodobnie niebardzo będąc zamożnym, podróżował najczęściej pieszo, jadał marnie i sypiał na twardych leżach, po zajazdach wiejskich. Zatopiony w swem marzeniu o pięknie i sztuce, obcym się stawał pospolitej rzeczywistości, nie dbał o wygląd i nie spostrzegał, że długie i chude jego ciało schło jeszcze bardziej na zakurzonych drogach Toskanii i w Umbryjskich górach. Opisywano mi go jako wymownego marzyciela, który zawsze był roztargniony, nieprzytomny, zużyty, trawiony miast lat gorączką zapału.

W 1848 r. udał się do Moskwy, gdzie miał wykładać historyę sztuki w jednym z zakładów naukowych tego miasta. Panowała tam podówczas cholera, zgarniając liczne ofiary w całej okolicy. Pewnego dnia — a epidemia srożyła się właśnie wtedy najsilniej — Miraut puścił się, jak to często czynił, na wędrówkę. Przechodził przez wieś, dotkniętą jak i inne nieszczęściem, kiedy nagle zauważyły go oczy wylękłe i nieufne. Spostrzegłszy tę dziwną postać o wychudłych policzkach, o rozwichrzonym zaroście, tę istotę prawie bez ciała o długich nogach, których przeznaczeniem zdawało się być chodzenie bez końca, przebieganie coraz to nowych wiorst od krańca ziemi do krańca, chłopi zaniepokoili się. Trwoga, nadająca rzeczom obcy ich kształt, sprawiła, że widzieli w tym umęczonym człowieku wędrowny szkielet. Zgromadzili się, przez chwilę

spojrzeli po sobie i z tą jednomyślną bezpośrednością, która stwarza w prostaczej wyobraźni myty i legendy, powiedzieli sobie, że ta postać — to Cholera. Widzieli jak długiemi, martwemi rękami rozrzucała pył jakiś, niby siew. I z piersi ich wydobył się okrzyk zgrozy.

Tymczasem, zauważywszy, że budzi wśród tych biednych istot nieufność i wstręt, dobry filozof piękna przyśpieszał kroku i długiemi nogami ucinał sobie drogę. Lecz wzburzeni mieszkańcy wsi śledzili go oczami: najśmielsi, zbrojni w widły i kosy puszczają się za nim w pogoń, z dzikim krzykiem dościgają go, rzucają skrwawionego na ziemię i rozrywają, krają na kawałki. Co uczyniwszy, wrócili do swoich zagród, dumni i zadowoleni z tego, że zabili cholerę. I, złożywszy widły i kosy, całowali żony swoje i dzieci.

Ci ludzie nieświadomi i religijni byli pewni, że odnieśli takie samo zwycięstwo, jak święty Jerzy, gdy zabił smoka, godzącego na życie księżniczki Kappadocyjskiej — co tak często przedstawiają nam święte obrazki. Tragiczna śmierć Jakóba Miraut-Daussy, o której dawno już nie myślałem, przypomniała mi się, kiedy przechodziłem przez ulicę Cherche-Midi w czasie procesu z r. 1894. Przed zamkniętemi drzwiami domu, gdzie sądzono obcego mi człowieka, tłum miejski spojony uczuciem zbiorowem i prawie religijnem, z oczami rozszerzonemi wył „na śmierć!“ Podobnie jak dla owych biednych chłopów moskiewskich wychudzony cudzoziemiec był cholerą, podobnie dla masy mieszczańskiej, bardziej we Francyi zacofanej od mas robotniczych, żyd Dreyfus był jeszcze przed wyrokiem Rady wojennej — Z d r a d ą. Dowodzi to, że nie zanika w tłumach ludzkich zdolność tworzenia mytów potwornych.

Anatole France.

KAROL NACHER.

UBEZPIECZENIE OCHRONNE ROBOTNIKÓW W AUSTRYI.

Dziesięć lat minęło od chwili, kiedy weszło w życie ubezpieczenie ochronne i ogarnęło szersze warstwy pracowników. I poprzednio były już próby ubezpieczenia. Najbardziej zagrożeni robotnicy — górnicy — już ustawą z dnia 23 maja r. 1854 otrzymali niejakie ubezpieczenie, nie dość ściśle określone, które dopiero ustawa z dnia 28 lipca 1889 r. dokładniej oznaczyła. Dalej dobra

wola pracujących stworzyła zwłaszcza w zachodnich prowincyach Austryi liczne kasy przy stowarzyszeniach, gdzie robotnicy sami zapewniali sobie zasiłki w razie choroby. Ustawa przemysłowa stworzyła w r. 1883 kasy chorych dla zawodowych, ustawą przemysłową objętych robotników. W roku 1889 powstała wreszcie ustawa o kasach dla chorych, która wszelkie gatunki kas chciała wziąć pod jeden kapelusz. Ale kapelusz ten widocznie nie bardzo był wygodnym, skoro od pierwszej chwili wszystkie czynniki w grę wchodzące poczęły się skarzyć i na ustawę i na jej wykonanie.

Mając zamiar na zasadzie kilkuletniej praktyki w kasach dla chorych przedstawić braki w ustawie o kasach tych, nie będziemy wytykali, że to jest złem a tamto wadliwem, ale zestawimy, o ile zdołamy jasno i dokładnie, to co jest — z tem, co być powinno, aby właśnie tą drogą wady ustawodawstwa ochronnego wybitniej uwydatnić.

Nie wystarcza przytem stanąć na ciasnem stanowisku kasy dla chorych, bo ustawa o kasach dla chorych i jej wykonanie wkraczają w różne inne dziedziny ubezpieczenia, a nawet i ustawodawstwa ochronnego.

Ubezpieczenie ochronne, to postulat robotniczy oparty na zasadzie, że jednostka nie powinna stać sama wobec niebezpieczeństw jej grożących, bo jest bezsilną, ale powinna się łączyć w wielkie związki celem wspólnego zwalczania grożących jej co chwila chorób i wypadków. Austryackie ubezpieczenie ochronne objęło małą tylko część pracujących: na stałą niezdolność do pracy prawie nikogo nie ubezpiecza, zajmuje się bardziej ubezpieczeniem na wypadek przemijającej niezdolności do pracy — i tu czyni tak liczne wyjątki, tak niestosownie rozdziela prawa robotników, że musimy przedewszystkiem zdać sobie sprawę, co ubezpieczenie ochronne ma na celu i czem się zająć powinno. Ubezpieczenie ochronne ma na celu zapewnić pracującemu w razie słabości pomoc lekarską i zasiłek na utrzymanie; w razie zaś stałej niezdolności do pracy — stałe zabezpieczenie bytu, choćby takiego, aby nie potrzebował stać się żebrakiem lub zbrodniarzem.

Ubezpieczenie robotników zatem objąć powinno robotnika chorego, zniedołężniałego, starca i inwalidę okaleczałego, tudzież wdowy i sieroty.

Co obejmuje ubezpieczenie austryackie? Chorego robotnika — o ile jest objęty ustawą o kasach dla chorych. Tego, którego dotknął wypadek — o ile jest objęty ustawą o ubezpieczeniu na wypadek. Starzec pracą sterany, inwalida drobnego przemysłu,

chory robotnik rolniczy lub leśny stoją po za obrębem wszelkiego ubezpieczenia — o bycie i życiu weteranów pracy, którzy nie mieli szczęścia uledz wypadkowi, ale wiekiem doszli do niezdolności, o egzystencyi ubogiej wdowy lub nieletniej sieroty po długoletnim weteranie pracy nikt w ustawie nie pomyślał.

Bo u nas dziwnie powstają socyalno-polityczne ustawy. To nie są konsekwencye potrzeby, to nie wyniki rozumnej teoryi — to wyniki obawy i postrachu przed budzącymi się do życia i poczucia prawa klasami ludu, to kości rzucone z dostatnich stołów, przy których zasiadły klasy panujące. I od czasu do czasu, kiedy okrzyk głośny przebije grube mury silnych jeszcze ciągle twierdz średniowiecznego feudalizmu i płodu jego, kapitalistycznej burżuazyi, — wtedy udaje się, że się coś robi — i powstaje nowa „socyalno-polityczna“ ustawa.

Tak tedy dostali zorganizowani przemysłowi robotnicy kasy dla chorych. Ale tu nasunąć się nam musi pytanie, czy kasy dla chorych mające na celu leczenie pracujących są potrzebne, czy nie. Jeżeli stoimy na stanowisku, że są potrzebne, jeżeli wychodzimy z założenia, że życie ludzkie jest dobrem, godnem opieki i starań, to musimy wyznać, że ustawodawcy popełnili wielką krzywdę. Słyszeli tylko krzyk robotników zorganizowanych — im dali coś — a miliony innych zostawili na uboczu.

Dając ustawę o kasach dla chorych przyznali, że pracującym się to należy, ale nie mieli na tyle poczucia sprawiedliwości, aby to co dają, dać tym wszystkim, którzy towar swój — pracę — na targ wynoszą i tam sprzedają. A to byłaby jedyna słuszna zasada.

Bo tylko wszyscy pracujący zespoleni są dość silni, aby stworzyć instytucyę istotnie ochronną. Przecież względy naukowe, praktyczne, humanitarne, powinnyby pouczyć prawodawców, że i ci, co pracują w przedsiębiorstwach państwa, kraju, powiatu, gminy, dalej robotnicy leśni i rolni, robotnicy przemysłu domowego, ci istotni łazarze wśród nędzarzy, wreszcie ogrom służby domowej znaleźć się powinien w szeregach ubezpieczonych. Pomijam wzgląd najważniejszy, że wyłączenie tych ludzi jest podcięciem kas, bo ten wzgląd dla rozstrzygających dzisiaj czynników nie ma znaczenia; lecz zważyć należy, że choroba takiego robotnika jest często zniszczeniem bytu całej rodziny, wykolejeniem tych istot, których byt zależy od zarobku wykluczonego od ubezpieczenia człowieka. A jeżeli dyurnista lub prowizoryczny sługa rządowy zachoruje — to egzystencya jego jest tak samo zagrożoną, jak i robotnika pracującego w warsztacie. Dziwną chyba każdemu wydaje się logika

tych, którzy przez usta „Wiener Abendpost“ podają do powszechnej wiadomości, że państwo nareszcie także pomyślało o swoich prowizorycznych pracownikach i na wypadek choroby daje im to, co kasa dla chorych, t. j. trzymiesięczną płacę — mimo, „że państwo obowiązku do tego nie ma“.

Gdyby nawet istotnie tak było, że państwo obowiązku nie ma — a tak nie jest — to autor tej z wysoka inspirowanej notatki nie zaznał pewnie nigdy doli chorego robotnika, gdy na taką się zdobył enuncyacyę. Najpierw choroba często trwa ponad 12 tygodni, — dalej płaca prowizorycznego robotnika państwowego jest tak lichą, że gdyby choroba nawet rozkazu „Wiener Abendpost“ usłuchała i dłużej jak 12 tygodni nie trwała, to wydatki na leki, lekarzy i środki terapeutyczne, które kasa daje, pochłoną wielką część tej płacy. A wszak państwo, które przecież jako pracodawca przodować winno innym — nie może powiedzieć, że ono nie ma obowiązku dbać o powrót do zdrowia swego pracownika, bo tak pracodawca, kosztem podatków utrzymywany, mówić nie powinien. Ustawowo nawet mu tak mówić nie wolno, bo uwolnionymi od obowiązku ubezpieczenia są tylko zajęci za stałą płacę — a nie prowizoryczni — i tylko mylnej interpretacyi § 2 ustawy o kasach dla chorych zawdzięczają ci ludzie, że ich wykluczono z pod dobrodziejstwa tej ustawy.

Ale nie dość na tem. Nietylko w braku ustawowego obowiązku dla wszystkich pracujących tkwi zasadniczy błąd ustawy — a o zasadniczych najpierw mówimy.

Zabezpieczenie bytu na wypadek choroby nie jest wystarczającem. Nie godzi się przecież człowieka, który życie całe pracą swą służył społeczeństwu — gdy sił do tej pracy nie stało, dać na pastwę ustawy o włóczęgostwie, nie godzi się nawet przypuścić go do udziału w dobroczynności publicznej, bo skoro dojdzie do tego szczęścia, traci swe prawa człowieka, gdyż pomoc z funduszów publicznych odbiera je w myśl ustawy. A właśnie zakłady powstające na podstawie ustaw o ubezpieczeniu ochronnem mają usunąć piętno hańby, które przypada w udziale temu, kto z dobroczynności publicznej korzysta. Zakłady te dają za premie asekuracyjne zasiłki i pomoc stosowną — popierać je i wytwarzać byłoby zadaniem rządu roztropnego.

A więc drugie żądanie, które zasadniczo stawiać musimy, jest założenie instytucyj ubezpieczających byt niezdolnych do pracy bez różnicy zawodu, czy to z wypadku, czy z starości, dalej instytucyj zabezpieczających byt wdowom i sierotom po pracujących, a wre-

szcie pomyśleć trzeba o bezrobotnych, aby ulżyć ciężarów, które dzisiaj samą siłą rzeczy w praktyce na kasy dla chorych spadają. Nie możemy przemilczeć, że wyjątek, jaki rząd znowu uczynić chce przez ubezpieczenie emerytury prywatnych oficyalistów z zupełnem pominięciem robotników jest grzechem kardynalnym i przeciw niemu wszędzie i zawsze zastrzedz się należy. Przyczyna tego nowego wyróżnienia jest wprost niezrozumiała.

Żądając tu zasadniczo rozszerzenia treści ubezpieczenia, musimy także sobie sprawę zdać z kosztów tego rozszerzenia Otóż na ten cel powinni rząd, pracodawca i pracujący przyczyniać się po $^1/_3$ części.

Zaznaczywszy tak stanowisko pod względem tego, jak ustawa powinna określić treść ubezpieczenia, należy pomówić o sposobie ubezpieczenia.

Tu ustawa za wiele zrobiła. Dała tyle kategoryj kas, oprzeć im się kazała na tylu różnych ustawach i przepisach, że istotnie nie dziwna, że często w tym wirze zoryentować się trudno.

A więc kasy brackie opierają się na ustawie górniczej, kasy korporacyjne — na przemysłowej, kasy stowarzyszeniowe — na ustawach o stowarzyszeniach, kasy zarejestrowane mają osobną ustawę, a wszelkie kasy powiatowe, fabryczne i budowlane opierają się na ustawie o kasach dla chorych. Ale nadto tak kasy brackie, jak i korporacyjne i stowarzyszeniowe mają pewne przepisy do nich się odnoszące w ustawie o kasach dla chorych; nawet na zupełnie odrębnej ustawie opierające się kasy zarejestrowane muszą sięgać do ustawy o kasach dla chorych. I tu możemy mówić o licznych nierównościach ustawy: niektóre kasy powiadają, że są skrzywdzone, a nie ma żadnej, któraby była zadowoloną.

Przyjrzyjmy się kasom wedle ich wartości. Są tu najpierw kasy fabryczne — nawet trzy rodzaje tych kas — jedne oparte na ustawie przemysłowej, drugie — na ustawie o stowarzyszeniach, inne — na ustawie o kasach dla chorych. Dążeniem pracujących, ubezpieczonych w kasach dla chorych a równocześnie dążeniem rozumnego państwa jako opiekuna ustawy, musi być o ile to jest możliwe — zdobycie stałej podstawy do ubezpieczenia, aby brak roboty jak najmniej praw odbierał zabezpieczonemu. Bo gdy w dzisiejszych stosunkach nie można marzyć o stałem zabezpieczeniu pracujących, których znaczna część narażona jest na częste bezrobocie — to przynajmniej dbać trzeba o to, aby skutki te jak najmniej działać mogły. Takie ubezpieczenie jest niemożliwe w kasie fabrycznej, która silnie związana w osobę pracodawcy — z nim razem żyje

i ginie. Tam nie może istnieć ciągłość praw — bo nie istnieje żaden interes łączący kasę fabryki jednej z drugą lub z kasą innego gatunku. Dalej byt robotnika fabrycznego lub górniczego nie jest stałym. Przy lepszych interesach sprowadza się do roboty więcej ludzi, którzy potem wracają do pierwotnego zawodu lub do roli — a więc bądź z tej kasy fabrycznej lub górniczej wypadają i idą do kasy zawodowej, powiatowej, — bądź wypadają zupełnie z ram ubezpieczenia, gdyż rolnik go nie ma — zapewne dlatego, że w ankiecie o kasach dla chorych powiedziano: „panowie gospodarze bardzo o swych robotników dbają“. Nie wolno zapomnieć też o tem, że kasami fabrycznemi rządzi przedsiębiorca wedle swej woli; tam gdzie robotnik głównie się przyczynia do utrzymania kasy nie dają mu prawa dyspozycyi, albo gdy dają, to tak, że musi wybrać do zarządu kogo mu fabrykant lub dyrektor wybrać każe. Stanowisko fabrykantów każe im obstawać przy kasach brackich i fabrycznych, a więc przy zupełnem opanowaniu robotnika nie tylko zdrowego, ale i chorego. Tam oddalają kobietę w ciąży przed upływem ciąży, by oszczędzić 4 tygodnie zapomogi; za akuszerki się nie płaci; doktor przyjęty przez pracodawcę wedle jego woli chorobę oceniać musi, rodzinie samobójców nie wypłaca się kwoty pogrzebowej — „bo mógł jeszcze żyć“ itd. A więc nikt się nie zdziwi, gdy żądamy zniesienia kas fabrycznych i górniczych.

Druga podobna kategorya — to kasy chorych dla uczniów. Są one przy korporacyach pracodawców i korporacye pracodawców je utrzymują, dbając aby jak najmniej kosztowały. Dbałość o zdrowie uczniów — nieszczególna. Wielu majstrów nie zapisuje uczniów do korporacyi a więc i do kasy. Skoro taki uczeń zachoruje, to go majster nie da do leczenia kasie, bo się boi i trzyma go przy robocie nie ze złej woli często, ale z obawy. A ile razy temu uczniowi rodzice kasę zapłacić muszą, choć § 34 ustawy o kasach dla chorych każe to czynić pracodawcy? Zarząd zły, opieka marna, kontrola licha — kasy te więc też zniesione być winny; tak samo kasy korporacyjne, zbyt małe — a tylko wielkie grona pracujących są w stanie pokryć ryzyko kas.

A więc potrzebnem jest ustawowe określenie kas dla chorych jedynych, lokalnych, obejmujących wszystkich pracowników.

Organizująca kasy ustawa powinna była tak się przedstawiać:

Jednolite kasy, obejmujące wszystkich pracujących, wedle powiatów; miejscowe kasy połączone celem przeprowadzenia leczenia, druków, kontroli, wspólnej administracyi i egzekucyi — jako związki

powiatowe. Związki powiatowe przez wybranych delegatów złączone w krajowe związki celem przeprowadzenia innych działów ubezpieczeń, jako to od wypadków, na starość, na wypadek niezdolności do pracy, bezrobocia, dla wdów i sierot.

Oto zasadnicze wytyczne dobrego ustawodawstwa ubezpieczającego robotnika nie tylko na wypadek przemijającej, ale i na wypadek niezdolności stałej.

Do tych ostatecznych celów ubezpieczenia ochronnego nadto należeć musi zabezpieczenie zdrowym możności utrzymania zdrowia w pracowni.

Postulaty te tak często wygłaszane i tak często bronione, nie tak rychło znajdą poparcie większości czynników prawodawczych. Przemożny wpływ wielkich właścicieli gruntowych w państwie austryackiem nie pozwoli na nich nałożyć ciężary, a przemysł również stara się wszelkiemi siłami i te drobne udziały, które opłacać musi, z siebie zwalić. Walka „związku przemysłowców“ przeciw zakładom od wypadków jest niczem innem, jak drogą do zniszczenia ubezpieczenia ochronnego. Uchylenie się przemysłowców z pod kontroli, niedostateczna opieka władz, nieodpowiedne wykonanie ustaw, tamowanie wszelkich kroków mających na celu sanacyą stosunków w instytucyach robotniczych — oto wskazówki, że rośnie wpływ przeciwników ochronnego ubezpieczenia.

I w takiej chwili znajduje się głupiec, który snuje plany, jak rozszerzyć to ubezpieczenie, tak marne a mimo to przez przeciwników znienawidzone i na zagładę przeznaczone? — zapyta czytelnik.

Tak, właśnie w takiej chwili trzeba dokładnie wykazywać, czego robotnik się domagać powinien, co mu potrzebne i co mu się słusznie należy. W takiej właśnie chwili, gdy przeciwnicy chcą zniszczyć zawiązki ubezpieczenia lub wzrostu ich nie dopuścić — wołać trzeba do walki o to prawo i wskazywać na jego dodatnie strony. Usilna i należycie zorganizowana w tym celu agitacya wszystkich robotników bez różnicy poglądów politycznych do ostatecznego zwycięstwa prowadzić musi.

ST. OS...ARZ.

CZYNNIKI POLITYCZNE SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO W ZABORZE ROSYJSKIM.

I.

Najcharakterystyczniejszą cechą rozwoju ekonomiczno-społecznego Królestwa w ostatnich czasach jest olbrzymi wzrost przemysłu i — co za tem idzie — ludności miejskiej. Łódź z 25-ciutysięcznego miasta wzrosła do rozmiarów prawdziwego „Manchesteru polskiego“ o 340.000 mieszkańców. Warszawa dawno już przekroczyła półmiliona. Okręg łódzki, częstochowski, zagłębie sosnowiecko-dąbrowieckie — wszystko to wzrasta nieustannie, wchłaniając olbrzymiemi ilościami ludność ze wsi okolicznych i dalszych.

To przekształcenie kraju rolniczego na przemysłowy odbiło się i na fizyognomii politycznej społeczeństwa. Obok szlachty, odgrywającej dotychczas rolę przodującą w społeczeństwie, ukazuje się potężny zastęp burżuazyi o odrębnych interesach społecznych i politycznych. Obok opozycyjnego dotychczas drobnomieszczaństwa wysuwa się na widownię polityczną rewolucyjny proletaryat. Co do szlachty, tj. właścicieli wielkiej posiadłości ziemskiej, to położenie jej ogromnie się pogorszyło po r. 1864. Uwłaszczenie chłopów zadało jej cios dotkliwy, następnie zaś rozwój przemysłu, a i burżuazyi, począł ją pomału spychać na plan dalszy. Szlachcic w Królestwie, który nie poszedł za duchem czasu i nie wziął się do przemysłu, stawał nad brzegami ruiny, napróżno wyglądając ratunku.

Ta to klasa, marniejąca ekonomicznie, tracąca wskutek tego coraz bardziej wpływ polityczny, z zazdrością spoglądała na sąsiednią Galicyę, gdzie jej bracia rodzeni panują wszechwładnie i rządzą bez kontroli. Stańczycy galicyjscy byli jaknajponętniejszym przykładem tego, co może zrobić bezwzględna lojalność. Szlachta Królestwa z boleścią widziała, jaką karyerę robią wszyscy ci Badeniowie, Gołuchowscy, Madeyscy, Bilińscy, jakiem znaczeniem cieszą się Sapiehowie, Dzieduszyccy, Sanguszkowie, Tarnowscy! Potrzeba było tylko pierwszej lepszej sposobności, ażeby szlachta Królestwa pokazała, że i ona na wzór galicyjskiej „chce stać i stać będzie przy tronie“ — i pocznie tępić hydrę rewolucyi za bardzo mierną opłatą — za dopuszczenie do urzędów, za uregulowanie nader uciążliwych serwitutów i t. p.

Kiedy Mikołaj II wstąpił na tron, szlachta zrozumiała, że na-

stąpiła chwila, z której można skorzystać. Organizuje więc deputacye wiernopoddańcze, jedzie do Moskwy na koronacyę, wypowiada w swych organach zapewnienia bezwzględnej lojalności i t. d. W ten sposób szlachta utworzyła jądro t. zw. stronnictwa „ugodowego“ i na własną rękę poczęła pozyskiwać inne czynniki społeczeństwa.

Przedewszystkiem chodziło o pozyskanie burżuazyi, co nie przyszło znowu ze zbyt wielką trudnością. Przeważna część wielkiej burżuazyi w Królestwie składa się z ludzi niepolskiego pochodzenia, nie ma żadnych tradycyj rewolucyjnych. Zresztą i interes własny fabrykantów wymaga lojalności. Wobec wzrastającego ruchu robotniczego, potrzebują ciągle pomocy rządu. Do tego przyłącza się jeszcze interes ekonomiczny. Dopóki przemysł Rosyi centralnej i Syberyi nie dojdzie do takiego rozwoju, ażeby samodzielnie zaspakajać rynki bliższego i dalszego Wschodu, fabrykanci z nad Wisły mogą z tych rynków ciągnąć olbrzymie korzyści.

Z tych wszystkich powodów arystokracyi udało się bardzo łatwo pozyskać burżuazyę dla c z y n n e j polityki ugodowej.

I oto stanęła zwarta falanga kapitalistów rolnych i przemysłowych, obiecująca wierność rządowi rosyjskiemu. Pozostawało tylko jedno: wytłómaczyć opinii publicznej, że polityka ugodowa rzeczywiście odpowiada interesom narodowym, trzeba było przekonac najbardziej niezadowolonych w społeczeństwie — drobnomieszczaństwo i inteligencyę, że w interesie polskości leży taktyka ugodowców.

Tego zadania podjęła się stojąca na usługach arystokracyi i burżuazyi prasa polska tak w Rosyi, jak w Galicyi i w Poznańskiem: „Kraj“ petersburski, „Słowo“ warszawskie, „Czas“, „Dziennik Poznański“. Poczęto łudzić publiczność obiecankami nieokreślonemi, ale ponętnemi. Czego nie można było ze względów cenzuralnych pisać w Warszawie, to podawały do wiadomości pisma zakordonowe.

Wystawiwszy jako program zupełną abdykacyę z dążności separatystycznych i poddanie interesów narodowych interesom państwowym, ugodowcy dawali do zrozumienia, że za tę cenę uda się uzyskać zupełną wolność rozwijania kultury polskiej w granicach tych samych urządzeń, z jakich korzysta Rosya rdzenna, a więc ziemstw, samorządu gminnego i t. d.

Społeczeństwo polskie zmęczone 30-kilkuletnim systemem brutalnej rusyfikacyi, poczęło wierzyć w możliwość „nowej ery“ i postanowiło czekać...

Garstka kierowników polityki ugodowej skorzystała z tego nastroju, prowadząc intrygę na dwa fronty. Chwiejnych pobudzano do oświadczeń lojalnych, twierdząc, że rząd gotów jest do natychmiastowych ustępstw na polu narodowem; nieprzejednanych zapewniano, że byleby otrzymać elementarne warunki rozwoju kulturalnego, to już później da się rząd w pole wyprowadzić.

Powoli ugodowcy zyskali trwały grunt pod nogami. Nawet ci, którzy nie wierzyli w skuteczność ich polityki, chwilami myśleli — a nuż się uda?

Było to przed przyjazdem cara do Warszawy.

Car przyjechał, podziękował za entuzyastyczne przyjęcie i wyjechał, zapewniwszy naród polski, że wierzy w jego szczerość. Żadnego manifestu, któryby obwieszczał zmianę systemu, nie ogłoszono — i rozczarowanie napełniło tych, którzy przywiązywali epokowe znaczenie do wizyty cara. Nastrój ugodowy pomału począł tracić swą siłę, a szereg rozporządzeń rusyfikacyjnych Imeretyńskiego udowodnił, że system się nie zmieni.

Ogłoszenie tajnego memoryału ks. Imeretyńskiego przez P. P. S. było strasznym ciosem dla ugodowców, bo wykazywało całą złudność ich marzeń, chytrość satrapy moskiewskiego, bezmyślność i brak wszelkich sympatyj do polaków u cara.

Jako akcya polityczna „ugoda“ zbankrutowała, bo zbankrutować musiała. Nadzieje ugodowców, tych, którym istotnie chodziło o koncesye, polegały na zupełnem niezrozumieniu charakteru tegoczesnej polityki rusyfikacyjnej rządu.

II.

Sentymentalny frazes, który był dawniej monetą zdawkową w naszych kołach radykalnych: „walczymy z rządem rosyjskim, ale nie z narodem“ obecnie stracił ostatecznie i tę nawet wątpliwą wartość, jaką niegdyś posiadał. I dawniej, co prawda, nawet najinteligentniejsi przedstawiciele narodu rosyjskiego popierali rząd przeciwko polakom. Wszak Karamzin błagał na klęczkach cara Aleksandra I, aby nie rozszerzał praw polaków; wszak największy poeta rosyjski Puszkin płakał z radości na wieść o zdobyciu Warszawy. Wszak w 63 roku cała niemal inteligencya rosyjska, jeszcze niedawno hołdująca liberalnym poglądom Hercena, znalazła się w obozie Katkowa i Murawiewa. Ale bądź co bądź były to fakty sporadyczne i — w gruncie rzeczy — dla społeczeństwa rosyjskiego było obojętnem, czy Polska znajduje się pod władzą Rosyi, czy jest państwem samodzielnem, czy taki albo inny system panuje w Królestwie.

Całkiem inaczej jest dzisiaj. Dziś bardzo szerokie warstwy społeczeństwa rosyjskiego są zainteresowane w tem, aby prowadzono rusyfikacyą „kresów“ wszelkiego rodzaju, od Inflant i Polski, do Kaukazu i Finlandyi z całą bezwzględnością. Dziś „kresy“ owe, to źródło życia dla dziesiątków tysięcy rodzin rosyjskich, dziś „kresy“ — to kolosalna — jeśli się tak można wyrazić — łapówka dla społeczeństwa rosyjskiego.

W postaci rusyfikacyi carat zupełnie świadomie stworzył dla siebie klapę bezpieczeństwa wobec ruchu rewolucyjnego, powoławszy do zastawionych stołów na „kresach“ mnogie rzesze głodnej inteligencyi, tej właśnie inteligencyi, która głównie zasilała dawniej szeregi rewolucyjne.

Rusyfikacya ostatniej doby, po zgładzeniu cara Aleksandra II, przybrała właśnie ów charakter „narodowy“. Dawniej rządowi rosyjskiemu chodziło o to, ażeby „kresy“ przy państwie utrzymać, wyplenić w nich tradycye bytu samodzielnego i zgnieść wszelkie aspiracye separatystyczne. Władze centralne bardzo mało obchodziło, w jakim języku prowadzi swe księgi rachunkowe fabrykant lub w jakim języku brzmi komenda ochotniczej straży ogniowej. Chodziło rządowi tylko o to, by najwyższe urzędy i najbardziej odpowiedzialne stanowiska w kraju podbitym były zajęte przez rosyan, lecz wszystkie pozostałe posady pozostawiano krajowcom. Oczywista, że rusyfikacya, podejmowana nietylko dla celów mocarstwowych, ale traktowana jako ujście dla nadmiaru niezadowolonej inteligencyi, musiała zmienić swój charakter. Dla głodnej rzeszy inteligentów niesłychanie ważnem było, aby każde, najskromniejsze nawet miejsce, wydrzeć ludności miejscowej. Posad wyższych, średnich i niższych dygnitarzy zabrakło dla rodu licznych kandydatów bardzo prędko, to też wypierać poczęto żywioł polski z coraz to niższych stanowisk. Po różnych dykasteryach rządowych przyszły koleje i banki, z których wyrzucono tysiące pracowników polskich. Fale inteligencyi rosyjskiej, płynącej do Polski, spiętrzyły się coraz wyżej. Każdy rosyanin, otrzymujący posadę w Polsce, starał się ściągnąć tam swych krewniaków. Doszło nareszcie do tego, że poczęto sprowadzać z Rosyi robotników do wszystkich przedsiębiorstw rządowych. Ta rusyfikacya najnowszej doby wytworzyła w Królestwie (jak już wcześniej na Litwie) zwartą masę rosyjską, silną solidarnością swych interesów i niesłychanem uprzywilejowaniem wobec ludności miejscowej.

Byt tej masy, poczynając od wszelkiego rodzaju urzędników, a kończąc na najniższych szpiegach jawnej i tajnej policyi, całko-

wicie zależy od trwania i pogłębiania systemu rusyfikacyjnego na „kresach“. W ich interesie leży taka polityka rządu centralnego i dla jej poparcia wytężą zawsze wszystkie swe siły.

Otóż cała ta moc rusyfikatorów „kresowych“ z Polski i Litwy, z Inflant i Kaukazu energicznie wpływa na opinię publiczną w Rosyi i wytwarza nastrój narodowo-rusyfikacyjny, który zapanował obecnie w Rosyi nietylko w sferach urzędowych, ale przedarł się już i do sfer radykalnych i zaraził nawet do pewnego stopnia rosyjskie sfery socyalistyczne.

Ten prąd „narodowo-rusyfikacyjny“, oddający „kresy“ na pastwę głodnym rzeszom i chroniący carat od poważnych zamieszek rewolucyjnych w centrum, musi stale wzrastać. W naszych oczach rozpoczęto rusyfikacyę Finlandyi, bo już na innych kresach bardzo mało co pozostało do zrusyfikowania — po za strażami ochotniczemi.

Ten to „narodowy“ charakter rusyfikacyi, zależący już nie od woli jednego satrapy, ale od bardzo szerokich kół narodu rosyjskiego, wytwarza taką sytuacyę, że wszystkie, przez Rosyę uciśnione ludy mają do czynienia de facto z narodem rosyjskim [1]), a nietylko z rządem.

Wobec tego wszelka „ugoda“ dobrowolna polaków z Rosyą jest najzupełniejszą utopią, bo wchodzi tu w grę interes żywotny dziesiątków tysięcy rodzin rosyjskich, które nie mogą dopuścić do zmniejszenia ucisku narodowościowego. Rusyfikacya — to warunek ich egzystencyi, i wszelki prąd, dla polaków przychylniejszy, gdyby nawet powstał w sferach rządowych w Petersburgu, musi napotkać rozpaczliwą opozycyę ze strony czynownictwa w Królestwie i wszystkich żywiołów w Rosyi z tem czynownictwem związanych. Sfery te muszą zwalczać jaknajusilniej „ugodę“, rozumianą jako pozyskanie polaków dla państwowości rosyjskiej drogą ustępstw narodowych. Natomiast ogromnie miłą jest dla nich „ugoda“, oznaczająca pogodzenie się polaków z systemem rusyfikacyjnym i oświadczenia naszych „ugodowców“ na temat lojalności względem Rosyi pojmowane tam są jako abdykacya ze wszelkich dążności narodowościowych, jako aprobata systemu rusyfikacyjnego.

Obecnie czynownik rosyjski, mieszkający w Polsce, pomimo wszystkich przywilejów, jakimi go służba na „kresach“ obdarza, nie czuje się jeszcze zadowolonym. Nienawiść, jaką żywi społeczeństwo

---

[1]) Oczywista, że mówimy tylko o tych jego warstwach. które posiadają świadomość polityczną i polityczne aspiracye. Ciemna masa chłopska, oczywista, nie wchodzi tu w rachubę. tak samo jak i olbrzymia większość proletaryatu miejskiego, dopiero teraz zaczynającego oczy przecierać.

polskie względem swych gnębicieli, bądź co bądź jest dla czynowników moskiewskich przykra. Chciałoby się im pędzić życie zupełnie normalne, nb. pobierając nienormalne „okłady żałowanja“. Tylko „ugoda“ mogłaby im dać gwarancyę tego spokojnego i przyjemnego życia.

Te tendencye, jak szydło z worka wyłaziły ze wszystkich głosów prasy rosyjskiej o „ugodzie“, tak licznych w ciągu kilku pierwszych lat panowania Mikołaja II. Prasa ta z lubością śledziła wszystkie kroki ugodowców, chwaliła ich za chęć wyrzeczenia się wszystkich „mrzonek“, twierdząc, że dla R o s y i, dla społeczeństwa r o s y j s k i e g o taki zwrot w sferach polskich jest pożądany.

Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, że prasa ta ofiiarowywała coś wzamian za to polakom. Obiecywano usunąć nadużycia, niepotrzebnie drażniące polaków i utrudniające zlanie się ich z ludnością panującą, a więc obiecywano jedynie ułatwić proces rusyfikacyjny.

Tylko bezgraniczna naiwność naszych ugodowców i bezmyślność dążącego za nimi tłumu inteligencyi mogła przypuszczać, że rząd rosyjski na seryo myśli przywrócić polakom prawa ich, t. j. stopniowo usunąć panoszący się u nas żywioł rosyjski dla lojalnych wynurzeń „Słowa“, „Kraju“ i Ski.

III.

Wówczas kiedy ugodowcy z tajemniczemi minami zapowiadali narodowi, że dzięki ich staraniom i wpływom, wkrótce już ma spaść na polskich poddanych cara cały deszcz wszelkich ustępstw na polu narodowościowem, ks. Imertyński złożył dowody, że, jeśli rząd zgodzi się nawet na ustępstwa, to bynajmniej nie pod wpływem marzycieli ugodowych.

W memoryale swym Imertyński zbywa politykę ugodową kilkunastuwierszową wzmianką. Uznając ten kierunek za pożądany dla rządu, nazywa go „ożywczym strumykiem“, ale zapatruje się nań, jako na „słaby prąd“ i nigdzie, proponując różne reformy, pod uwagę go nie bierze.

Obawa sił opozycyjnych społeczeństwa polskiego jest natomiast j e d y n y m impulsem, który pobudza Imertyńskiego do przedłożenia rządowi centralnemu projektów rozmaitych reform.

Proponując reformy ekonomiczne dla polepszenia stanu chłopów, Imertyński predewszystkiem lęka się, by chłop nie stał się „igraszką namiętności politycznych w rękach ludzi nieprawomyśl-

nych i wrogich rządowi“. Rząd powinien koniecznie zaopiekować się sprawami chłopstwa, gdyż „nieprzejednana część inteligencyi polskiej bacznie śledzi kroki rządu w tej dziedzinie i, dostrzegając osłabienie opieki państwowej nad chłopami, dąży natychmiast do pozyskania ich dla siebie“. Według Imertyńskiego włościanie polscy „są wierni Rosyi nie z właściwego rosyanom uczucia bezgranicznej miłości do cara i ojczyzny, lecz z powodu dobrobytu zapewnionego im przez rząd rosyjski. Jeśli zaś podstawą tą zachwieją wrogie nam żywioły oraz jeśli włościanie nadwiślańscy zawiodą się co do troskliwości o nich władzy rosyjskiej, to się odstrychną od rządu, a żadne reformy, udzielone poprzednio, nie będą wystarczały do wznowienia w ich sercu uczucia wdzięczności, nie podsycanego nowymi dowodami troskliwości“.

Ogromną wagę przywiązuje Imertyński do bibliotek ludowych, uważając zakładanie ich za niezmiernie pożądane. Ale dlaczego potrzebne są te biblioteki? Oto dlatego, że „w ostatnich latach za pomocą zręcznych agitatorów setki i tysiące niecenzuralnych broszur nader tendencyjnego charakteru dostaje się do ludu z zagranicy“ i „polski włościanin, a jeszcze bardziej polski robotnik fabryczny, w braku innego materyału do czytania, chętnie zaczynał już czytać te wydawnictwa“. Biblioteka ludowa ma być „głównym środkiem walki z propagandą“ i jeśli rząd nie wyasygnuje funduszów potrzebnych na nie, „wtedy nic nam nie pozostanie, jak tylko bezsilnie przyglądać się rozkładowemu wpływowi socyalno-rewolucyjnej propagandy w łonie niższych klas tutejszej ludności“.

Nauczanie języka polskiego, usunięte ze szkoły, odbywa się po za jej murami, a nauczycielami są ludzie „nie zawsze prawomyślni pod względem politycznym“. A więc trzeba ulepszyć program wykładów języka polskiego w szkołach średnich, by usunąć wpływ tych, „którzy częstokroć podkopują podwaliny gmachu, budowanego przez szkoły państwowe“. „Lekceważenie języka polskiego jako przedmiotu nauczania w szkołach daje różnym agitatorom pochop do wskazywania na ten fakt, jako na najlepszy dowód dążeń rządu do zrusyfikowania tego kraju“. A więc należy „agitatorom“ grunt odebrać i zreformować nauczanie języka polskiego w szkołach elementarnych.

Jedyną praktyczna reforma, proponowana przez Imertyńskiego dla robotników, dotyczy górniczych kas emerytalnych. Dlaczego jednak reformę tę Imertyński za konieczną uważa? Oto, „ponieważ rozmaite osoby nieprawomyślne, głównie z pośród socyalno-rewolucyjnych agitatorów, korzystają, by doprowadzić do szczytu uczu-

cie niezadowolenia istniejące wśród górników," i nakłonić ich do nielegalnych protestów".

Nawet założenie politechniki w Warszawie ma na celu nie co innego, jak zapobieganie szerzeniu się propagandy rewolucyjnej, gdyż według Imertyńskiego młodzież zdobywszy wykształcenie techniczne zagranicą, „wraca do kraju z mocną antypatyą do naszych porządków rosyjskich, z przesadnem wyobrażeniem o korzyściach wolnego życia państw europejskich". Dlatego — żadnych innych powodów Imertyński nie podaje — należy zorganizować w Warszawie politechnikę...

Jednem słowem z całego memoryału Imertyńskiego wynika, że tylko „wrogie żywioły" społeczeństwa polskiego, reprezentowane głównie przez „zręcznych agitatorów", szerzących niezadowolenie wśród mas, posiadają możność oddziaływania na rząd i popychania go w kierunku reform.

Przypatrzmyż się nieco bliżej tym sferom nieprzejednanym, których tak się obawia Imeretyński: patryotom i socyalistom.

IV.

Patryoci, ludowcy, narodowcy, demokraci narodowi — oto imiona, pod któremi występują w Królestwie ludzie, bardzo różnych częstokroć przekonań społecznych, złączeni wspólnym celem — odzyskania niepodległości przez uświadomienie ludu. Patryoci rekrutują się głównie z inteligencyi zawodowej i pokrewnego mu drobnomieszczaństwa, co powoduje niesłychaną pstrokaciznę przekonaniową tej grupy. Można tam spotkać obok zdecydowanych klerykałów, twierdzących, że polskość a katolicyzm to jedno, ludzi o skrajnych przekonaniach społecznych, sympatyzujących z socyalizmem, chłopomanów i antysemitów, zwolenników powstania i przeciwników jego, oświatowców i t. d. Ta pstrokacizna odbija się we wszystkich wydawnictwach patryotycznych, nawet noszących firmę tajnych organizacyi. Broszurki „Z dzisiejszej doby", stanowiące seryę wydawnictw jednej grupy są najlepszym tego przykładem. Znajdziemy tam i frazesy socyalistyczne i zapewnienia, że naród zgrupuje się dokoła Kościoła katolickiego...

Oświata ludowa t. j. tajne nauczanie dzieci ze sfer rzemieślniczych, rozpowszechnianie wydawnictw ludowych wśród chłopów, zakładanie tam szkółek tajnych i czytelń — oto teren działalności patryotów. Od czasu do czasu jakaś odezwa, przypominająca narodowi o rocznicy dziejowej, szereg manifestacyi rocznicowych (za-

łoba narodowa, konstytucya 3-go maja, pamiątka Kilińskiego) — oto środki oddziaływania na społeczeństwo w celu uświadomienia go pod względem narodowym.

W 1895 r. powstał we Lwowie „Przegląd Wszechpolski“, który jest organem obozu patryotycznego w zaborze rosyjskim. Pismo to, kierowane przez najwybitniejsze siły literackie patryotów, prowadzone było od samego początku w ten sposób, że nikt, przy największych chęciach, nie mógł sobie wyrobić jasnego pojęcia o tem, jakiej Polski chcą patryoci i jakiemi drogami chcą do niej dążyć. Częstokroć artykuły wstępne „Przeglądu Wszechpolskiego“ wypowiadały w kilku numerach z kolei zdanie wręcz odmienne o tej samej kwestyi.

W r. 1897 „Przegląd Wszechpolski“ zamieścił „Program stronnictwa narodowo-demokratycznego“ i od tego czasu wszelkie wystąpienia patryotów odbywają się pod firmą tego stronnictwa. Program ów, mglisty, niejasny — był, że się tak wyrazimy, wstępem do nekrologu stronnictwa, bo stronnictwo nie posiadające ani dokładnej świadomości celów bliższych, ani środków, którymi ma zdobyć niepodległość, jest skazane na wegetacyę i powolny zanik.

I rzeczywiście stronnictwo narodowo-demokratyczne, reprezentowane przez „Przegląd Wszechpolski“ staje się coraz więcej bladem, dawny radykalizm społeczny ustępuje wciąż miejsca skrajnemu oportunizmowi.

Istotnie szał ugodowy, z okresu przed przyjazdem cara do Warszawy, porwał i obóz patryotyczny w Królestwie i przywódcy stronnictwa narodowo-demokratycznego zagranicą naraz stracili armię. Gdy rozproszyły się nadzieje związane z pobytem cara w Warszawie, a zwłaszcza kiedy się okazał memoryał Imeretyńskiego, „Przegląd Wszechpolski“ znowu ostro wystąpił przeciwko ugodowcom, ale po za tem kierunek oportunistyczny w nim przeważał.

Wpływ tego pisma na kraj topniał widocznie. „Przegląd Wszechpolski“ kurczył się, zmienił się z tygodnika na miesięcznik, dochodził do zaboru rosyjskiego coraz gorzej, a radykalniejsi narodowcy w Warszawie odżegnywali się odeń i wypierali wszelkiej z nim solidarności.

W r. 1898 w Warszawie powstało tajne pismo polityczne „Walka“ o bardziej radykalnem zacięciu, z jawnemi sympatyami względem partyi socyalistycznej Pisemka tego wyszły tylko 3 numera. Pod koniec tegoż roku ukazała się zagranicą odezwa grupy patryotów, ostro występująca przeciwko „Przeglądowi Wszechpolskiemu“, głównie za jego niesprawiedliwy stosunek do socyalistów i antysemityzm.

Wszystko to świadczy, że w obozie patryotycznym odbywa się różniczkowanie: żywioły umiarkowane i oportunistyczne bledną coraz bardziej, żywioły zaś skrajne coraz bardziej zbliżają się do socyalistów, którzy stanowią główny zastęp czynnej i nielegalnej opozycyi.

Wówczas, kiedy cały naród, nie wyłączając demokratów narodowych, spodziewał się łask z ręki cara, jedynym głosem energicznie protestującym przeciwko rządom carskim i wypowiadającym im bój śmiertelny, była odezwa Centralnego komitetu P. P. S.[1]) na przyjazd cara do Warszawy. Wydanie tajnego memoryału Imeretyńskiego, podkopujące samo istnienie ugody, wystąpienie podczas odsłonięcia pomnika Murawiewa w Wilnie, wszystko to uczyniło z partyi socyalistycznej stronnictwo kierownicze nawet po za sferami proletaryatu.

Niezmordowana praca nad uświadomieniem klasowo-politycznem ludności robotniczej pozwoliła P. P. S. pozyskać wpływ olbrzymi na masy, czego dowodem korespondencye w „Robotniku“ i „Górniku“, liczne strejki, nareszcie manifestacya majowa i inne. Nieuchwytna dla władz rządowych, posiadająca nader rozgałęzione stosunki w całym kraju, P. P. S. zalewa go swemi wydawnictwami krajowemi i zagranicznemi, rewolucyonizując umysły mas, wyrabiając je w walce codziennej i przygotowując do ostatecznego obrachunku z wrogami.

Już teraz znaczna część społeczeństwa polskiego z uwagą przysłuchuje się hasłom rzucanym przez P. P. S. Ten wpływ musi się bardziej jeszcze spotęgować w miarę tego jak wzrosną siły partyi i rozszerzy się zakres jej działalności po za miasta i centra przemysłowe. Dziś wśród proletaryatu fabrycznego i rzemieślniczego istnieją albo całkiem nieuświadomione jeszcze jednostki, albo zwolennicy P. P. S. Innych żywiołów niema.

Inaczej przedstawia się sprawa na wsi.

Kto zdobędzie wieś — narodowi demokraci, czy też socyaliści?

Narodowi demokraci wszelkich odcieni uważają, co prawda, wieś za główny teren swojej działalności i w kierunku uświadomienia chłopów wytężają swe siły. Oni to biorą udział w kółkach oświaty ludowej, zakładają tajne księgozbiory po wsiach, oni to szerzą wśród ludu patryotyczne wydawnictwa galicyjskie, oni to zdobyli się nawet na specyalny organ, przeznaczony dla chłopów zaboru rosyjskiego, choć wydawany w Krakowie („Polak“). Ale,

---

[1]) Skrócenie: Polska Partya Socyalistyczna. (Przyp. Redakcyi).

jeśli mamy mówić o wpływie p o l i t y c z n y m na masy chłopskie, to w gruncie rzeczy narodowi demokraci go nie posiadają. Oczywista, że mając stosunki wśród chłopów, narodowi demokraci potrafili pozyskać jednostki nieliczne pomiędzy inteligencyą chłopską, potrafili je uświadomić pod względem narodowym, rozbudzić w nich nienawiść do rządu, ale na tem też koniec. Nie posiadając sami określonego programu, nie zajmując wyraźnego stanowiska społecznego, a przedewszystkiem bojąc się potrącenia o antagonizmy klasowe na wsi, o sprzeczność interesów ekonomicznych „dworu i chaty“, narodowi demokraci z góry już skazali siebie na niepowodzenie wśród ludu wiejskiego.

Powiastki z czasów powstania, opisy niedoli ojczyzny, frazesy patryotyczne o jedności narodowej — wszystko to chłop przyjmuje z ciekawością, jako rzeczy dla niego nowe, ale nie potrafią one poruszyć głębszych strun jego duszy. A już owe pseudohistoryczne fabrykaty, pragnące wmówić chłopu, że panowie o niczem innem nie myślą na jawie i we śnie, jak tylko o uszczęśliwieniu chłopa, mogą tylko wśród ludu wzbudzić nieufność.

Szanse socyalistów, którzy poświęcają dotąd wszystkie swe siły proletaryatowi miejskiemu, są pomimo to jednak daleko większe. Tłómaczy się to przedewszystkiem charakterem rozwoju przemysłowego kraju. Do wszystkich ognisk fabrycznych Królestwa, rozrzuconych na znacznej przestrzeni, coraz to więcej napływa ludność wiejska — całkiem, albo tylko częściowo sproletaryzowani chłopi, którzy pracują w fabrykach i kopalniach, ale nie zatracają łączności ze wsią. Znaczna ich część — jak np. górnicy w zagłębiu dąbrowieckiem, pod Częstochową itd. — nierzadko nawet mieszka na wsi i powraca tam po ukończonej pracy. Olbrzymia liczba robotników miejskich posiada na wsi rodziców, rodzeństwo, krewnych. W ten sposób pomiędzy wsią a miejską masą robotniczą utrwalają się stałe stosunki, w ten sposób na wieś coraz bardziej przenikają prądy nurtujące wśród robotników miejskich.

Oto droga, którą już teraz dostaje się do rąk chłopów mnóstwo wydawnictw socyalistycznych, a którą, w miarę szerzenia się przekonań socyalistycznych wśród proletaryatu miejskiego, wkroczy na wieś celowa propaganda.

Socyaliści polscy wytworzyli już wcale niezłą literaturę agitacyjną, specyalnie przystosowaną do potrzeb agitacyi na wsi [1]),

---

[1]) Oto szereg tytułów: „Ojciec Szymon“, „Dobra nowina dla robotników wiejskich“, „O czem każdy włościanin wiedzieć powinien“, „Czy teraz niema pańszczyzny“, „Czego chcą socyaliści“.

a wzrastającą nieustannie. Stosunki P. P. S. wśród ludu wiejskiego już w niedalekiej przyszłości doprowadzą chyba do założenia organu partyjnego dla agitacyi na wsi.

Przetworzenie masy wiejskiej na świadomy czynnik polityczny, wprowadzenie chłopstwa w wir walki dziejowej o niepodległość i wolność — będzie przełomowym punktem historyi narodu i początkiem „nowej ery“ — mniej zawodnej i bardziej obiecującej niż ta, którą łudzili nas ugodowcy.

JERZY ŻUŁAWSKI.

Z POEMATU „LOTOS“.

XXXI.

Myślałem: gdy już duszy nie uzdrowi
krew ani rozkosz, haszysz ni dźwięk szklanic,
więc stworzę jeno mojemu smutkowi

świat piękna, czaru, przepychu bez granic,
gdzieby me zmysły w słodkiem upojeniu
zasnęły cicho, niezważając na nic

i zapomniały we śnie o cierpieniu...
Miasto-m zbudował tedy kryształowe
w górskiej dolinie przy srebrnym strumieniu;

sto szklanych kopuł słupy jaspisowe
dźwigały w lazur powietrza, a złote
palmy w owoce zdobne rubinowe

chwiały na wiatrów rzucone pustotę
liście swe kute ze srebrzystej blachy,
rozwiane przez mą niesytą tęsknotę

ponad pałaców kryształowe dachy...
A potem w gardziel wąwozu, gdzie wody,
co okrążały me czarowne gmachy,

pomiędzy głazy i stuletnie kłody
grzmiały kaskadą, zwaliłem dwie góry —
i fala z jękiem od nagłej przeszkody

odbita drgnęła i srebrnemi pióry
wstecz zatoczywszy krąg szeroki, lśniąca
poszła zadzwonić perłami o mury

szklanego miasta. Już o progi trąca; —
rośnie, — oknami do sali się wlewa;
jasna od iskier słonecznych tysiąca

igra z palm liściem; już złociste drzewa
toną w jej łonie; ona rośnie, rośnie,
bije o wieże jak spłoszoną mewa

śnieżnemi skrzydły i kryje zazdrośnie
wszystko tęczami. Stanęła, w jezioro
szklane rozlana. Wraz zagrzmiał rozgłośnie

wodospad, który ponad skał zaporą
znalazłszy drogę, skoczył w dół przez głazy.
Powierzchnia wód się gładziła, a skoro

błysła do słońca zwierciadłem bez skazy,
z głębin wyjrzało me miasto zaklęte, —
jak z haszyszowej zrodzony ekstazy

sen — takie piękne i tak nieujęte.

XXXII.

Nadbrzeżne skały porąbałem w schody
i marmurowe spiętrzyłem terasy,
wieszając na nich bajeczne ogrody,

co się powojów wodospadem w lasy
palm przelewały i tęczowym wzorem
na biel marmurów kraśne słały pasy.

Łódź pozłocista wysłana bisiorem
w noc śród ogrodów nosiła mię lekko,
jak ptak nad sennem ważąc się jeziorem

i ponad miastem, które światła rzeką
zalane lśniło się z wodnej głębiny
w błękitnych ogniach miesiąca. Daleko

kędyś się opar z wód podnosił siny
i szedł ku łodzi mej cicho po fali,
a z nim wspomnienie szło owej godziny,

gdym na mej harfie z pereł i korali
grał pieśni święte przed jasnem obliczem
dziewy, co znikła w niepowrotnej dali...

I anim wiedział, kiedy tajemniczem
wspomnieniem czaru dusza opętana
o niej śniąc znowu uczuła, że niczem

wszystko jest dla niej i że dawna rana
pali ją w piersiach... Gwiazdy w wodnej toni
odbite błyszczą; łódź ma kołysana

falą wśród kaskad ogrodów w dal goni —
a mnie jęk w piersi dławi, ból okrótny
i śród przepychu i czaru i woni

płynę znękany — jak zawsze — i smutny.

JAN STEN.

MŁODA POLSKA.

VI.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

Urodził się w r. 1868.*) Ojczyzną jego była Wielkopolska, ziemia kujawska, prastare gniazdo narodu i kolebka państwa. Kraj płaski, jednostajny, bezkreśny; wiosna zielenią go umaja, jesień po szarych rżyskach i ugorach szare całuny mgieł rozwłóczy, zima śniegiem je nakrywa i na białą nieskończoność, jakby na symbol pól zaświatowych zamienia. Nigdzie nic oka nie przykuwa, nic myśli nie więzi: więc wyrywa się śmiało ku górze, ulata, błądzi i marzy. Lud tu najczystszy, najbardziej w Polsce rasowy, najmocniej jeszcze w starej Słowiańszczyźnie tkwiący; do życia zbiorowego, do pracy społecznej nad inne szczepy zdolny, pomny jeszcze może dawnych wieców i roków słowiańskich. Walka codzienna z zaborem zahartowała go, upór i dumę mu dała, i poczucie swej odrębności narodowej w krew mu wszczepiła. Język jego bogaty, w dźwięki dawne, w zwroty jędrne i silne obfity, jak w drogocenne klejnoty staroświeckie.

Tam wzrastał Przybyszewski. Ojciec jego był nauczycielem ludowym i Przybyszewski stykał się bezpośrednio z przyrodą i z ludem. Wspomnienia dzieciństwa wycisnęły na Przybyszewskim niezatarte piętno. I nietylko w tem odnajdujemy je, że chętnie przenosi scenerye swych utworów w strony rodzinne: wpływy są głębsze i trwalsze. Sam styl jego potoczysty, gładki, lecący naprzód, niepowstrzymywany, bujny i rozrzutny — czyż nie budzi mimowoli wyobrażenia jakiejś zuchwałej jazdy rycerskiej, co mknie butna przez szczere pola, ani dbając, dokąd ją pęd zaniesie? Jak w potyczce rycerz słowiański, broniąc swych kresów od najazdu, za trzech starczyć musiał i starczył, — tak też u Przybyszewskiego każde słowo sens i treść kilku nieraz w sobie mieści, a jednak życzeń poety nie zawodzi.

Wiara szczera, choć może niezbyt głęboka, tego ludu, wśród którego się chował, na całe życie przywarła do Przybyszewskiego. Chrześcjaństwo ze swym katechizmem miłości i przebaczenia bliższe słowianom jest, niż innym ludom Europy. Słowianin do historyi

---

*) Dane biograficzne czerpiemy z autobiografii Przybyszewskiego w „Tygodniku Illustrowanym“ z dnia 4 marca 1899 r.

wszedł jako najmłodsze i najmniej skrwawione dziecko. Zewnętrzny barwny przepych Kościoła doskonale również odpowiada zamiłowaniu słowian do błyskotek, połysku i blichtru. Natomiast filozoficzne badanie dogmatów, rozpaczliwa walka umysłu o zagadki i tajemnice wiary nieznacznie tylko wstrząsały myślą religijną w Polsce. Polska nie wydała ani jednego Pascala.

Przybyszewski w młodości pisywał antyfony, litanie, psalmy, i supplikacye wierszem; ale i w dojrzałych latach nie zapomniał o religii. Sposób, w jaki ją pojmuje, jest typowo-swojski. Filozofia wiary jest u niego stroną najsłabszą, gdyż wymyślanie Bogu lub przywłaszczanie sobie Jego atrybutów (p. początek „Nad Morzem“) i wiele innych nie jest rozdziałem nawet najbardziej dziecinnej Theodycei. Przybyszewski protestuje kilkakroć przeciw wszechmocy i władzy Boskiej i wtedy korzy się przed Szatanem, odwiecznym duchem przeczenia i jemu się poddaje. Ale te protesty nie są groźne i Szatan nie jest właściwym Bogiem dla duszy Przybyszewskiego; czuje to sam poeta i rychło nowego swego władcę porzuca. Szatan jest duchem ponurej dumy i milczenia; Przybyszewski, jak prawdziwy Polak, jest poetą wielomównym; a nie tylko utrata światła wiekuistego, lecz odejście kochanki — za jego nawet wolą — wtrąca go w rozpacz głośną, łzy i szlochania mu wyciska.

O wiele głębiej, o wiele silniej i szczerzej oddaje Przybyszewski wpływy i oddziaływania etyki chrześciańskiej: ból i hańba duszy, gdy wraca do niej to zwykłe chrześciańskie sumienie, to które uczy: nie kradnij i nie cudzołóż, namalowane są w „Homo sapiens“ przepysznie. Ale najbardziej wraziły się w pamięć Przybyszewskiego obrzędy kościelne. Podobno nawet w życiu swem codziennem Przybyszewski długo nie mógł się rozstać z zewnętrznemi oznakami katolicyzmu; jakbądź uroczyste obrzędy kościoła dały mu najpiękniejsze i najoryginalniejsze jego porównania. Ponura, już nieludzka melancholia dnia zadusznego nawiedza go w słoty jesienne; słońce krwawo zachodzące w morze przypomina mu olbrzymią monstrancyę, skąd na wszechświat cały ocieka krew Zbawiciela. Porównań takich jest bez liku. Są one efektownym i niezużytym środkiem artystycznym — a zarazem stanowią ciekawy przeżytek wierzeń religijnych w duszy współczesnego poety. Interesującem jest, że przeżytek ten jest równomierny: żadna część kultu katolickiego nie wyodrębniła się tu i nie wybiła nad inne. Zwłaszcza uderza to u autora, który tak sumiennie zajmuje się teoryą uczuć erotycznych — a uczucia te miały, jak wiadomo, pierwszorzędną rolę przy wytwarzaniu zasadniczych mytów religijnych. Jeśli nie

jest to pewną, uzasadnioną zresztą lękliwością przed zuchwalstwem własnych pomysłów, to świadczy może, że religijność Przybyszewskiego jest dlań przedewszystkiem skarbcem estetycznym, szkatułką pięknych, a dawnem przeznaczeniem swem świętych nawet klejnotów.

Jednolite niezachwiane psychiczne tło ludu wielkopolskiego odbiło się na Przybyszewskim, dało i jemu tę zdumiewającą jednolitość organizacyi psychicznej, która sprawia, że Przybyszewski jako autor najmniejszym ulegał wahaniom, najmniej przeobrażeń przeszedł, nie zmieniał się ani się doskonalił. Nikogo może tak łatwo nie jest poznać z jednego już dzieła, jak Przybyszewskiego właśnie. Przybyszewski nie rozdrabnia się nigdy. Jak lud wielkopolski zawdzięcza swą siłę i trwałość temu, że twardo przy jednem stał i polskość swą na przekór światu całemu wyznawał, tak też moc Przybyszewskiego polega na tem, że gdy wytworzył kilka zasadniczych idei, pomysłów czy paradoksów, nie odstępował od nich nigdy, wolał kilkakroć powtarzać je raczej, niż miałby je cofnąć i nowe, świeże stworzyć. *Gutta cavat lapidem.* Udało się też Przybyszewskiemu wyżłobić w mózgach doskonałą, jezdną drogę — a tą nawet takie pomysły wniósł do mózgu filistra polskiego, które bez tej wytrwałości dostaćby się mogły do dusz „cyganów“ tylko górskiemi ścieżynami i to nie bez uszkodzeń. Pomysły te jednak nie są już syntezą wpływów ludowych i rodzinnych, które pobieżnie staraliśmy się wykazać. Są one rezultatem oddziaływań wielkiego świata literatury i sztuki; są refleksem niektórych zagadnień współczesnego życia i wiedzy w duszy młodego wielkopolanina. Dusza ta stała się kanałem, którym fale nowych problematów etycznych i estetycznych przelać się miały wprost z zachodniego świata na ziemię polską. Ale kanał, o wymiarach zakreślonych tyloma wpływami, okazał się za wązki i za płytki dla fal wszystkich; niektóre tylko przeciekły przezeń, największe zaś i najsilniejsze odbiły się lub przewaliły po nad nim.

Przybyszewski, ukończywszy szkoły średnie, udał się do Berlina i wstąpił tam na wydział lekarski. Pierwszy ten krok już po części zakreślił sferę jego myśli; przywiązał ją odrazu do objawów chorobliwych, niezwykłych, nadmiernych, kazał mu gardzić przeciętnością, zdrowiem, a tęsknić za nadzwyczajnością. Młody student z zapałem rzucił się do pracy. Anatomia wprowadziła go w tajniki ciała ludzkiego, zapoznała go z ustrojem własnym i ustrojem kobiecym z taką dokładnością, że gdy później jako artysta przerzucił się na pole psychologii, miał już tło cielesne dokładnie przygoto-

wane i w myśli zawsze obecne. Gdyż Przybyszewski, jako prawdziwy wychowaniec wiedzy współczesnej, nie mógłby nigdy traktować psychologii bez jej fizyologicznego oparcia. Fizyologia układu nerwowego, który o miedzę zda się graniczyć już z duszą, pociągnęła młodzieńca. Pracował nad nią sam i badaniami swojemi ogarnął i rdzeń pacierzowy i korę mózgową; był na drodze do odkryć, może odkryć wielkich, których nie wykonał jednak. Musiał dużo zajmować się chemią, tajemniczą dla profanów wymianą ciał na nowe związki — gdyż posiadł wiadomości alchemiczne, te zaś bez chemii są żartem niemożliwym. Zgłębiał i embrylogią; przynajmniej tak sądzić trzeba z olbrzymiej liczby terminów embryologicznych w jego pierwszym utworze: Totenmesse.

Wszystkim jednak pracom stanęła na przeszkodzie kochanka... Sztuka. Ona to porwała go w lubieżne, odurzające objęcia, aby nie wypuścić go więcej i zupełnie dla siebie zagarnąć. Nauka ustąpiła przed nią, a nowa kochanka tak była zazdrosną, że przed wybrańcem swym odepchniętą już naukę zohydzała i wydrwiwała zawsze, dopóki nie wyznał jej wreszcie, że gardzi tem, co dawniej kochał może i czcił w tamtej, że gardzi rozumem. Dłużej niż nauka, opierał się Sztuce obowiązek społeczny. Przybyszewski zżył się z niedolą, na sobie jej doświadczał, był socyalistą, redagował berlińską „Gazetę robotniczą“. Z obowiązkiem Sztuka godziła się lepiej, gdyż potrzebowała go więcej. Czuła doskonale, że ulubieniec jej, a więc i ona, z działalności tej, jakkolwiek socyalistycznej, ciągnie jednak zyski. Przybyszewski stykał się w Gazecie i zapoznawał z ludźmi dziwnymi, jakich nie wytwarza zapewne wielkomiejska kawiarnia. Wynędzniali fanatycy, męczennicy rewolucyj dawnych i nadchodzących, kobiety przedraźnione, nieprzytomne, wycieńczone — dusze wsparte już o szaleństwo — był to bogaty materyał, z którego fantazya jego czerpać mogła i zaczerpnęła rzeczywiście. Przybyszewski poznał również w „Gazecie“ technikę rewolucyjną: propagandę, kolportaż. Ale widocznie kwestye psychologiczne nęciły go zawsze więcej od życia czynu, gdyż w dziełach jego o tej stronie berlińskiego socyalizmu znacznie mniej jest danych. Były to drobiazgi, któremi zapewne Przybyszewski sam się nie zajmował. Natomiast socyalizm jako idea etyczna nie wywarł na Przybyszewskim wpływu, Sztuka ochroniła go od wszystkiego, coby niekrępowanemu rozwojowi artystycznemu szkodzić moglo. Zresztą, zapewne idee moralne, jak ospę, szczepić można najlepiej w dzieciństwie.

Wiedza lekarska i kawiarnia — artystyczna czy rewolucyjna — złożyły się w początku na twórczość Przybyszewskiego. Wiedza

dała formę, kawiarnia — treść, Przybyszewski — talent. Wiedza i kawiarnia były niemieckie, talent — polski; więc Przybyszewski mimowoli może zaczął pisać po niemiecku. Uczynił dobrze, gdyż inaczej byłby dla nas stracony. Początkującego pisarza nie przyjętoby z taką twarzą, jaką w pierwszej chwili odsłonił Przybyszewski. Ta sama opinia, która dziś gdy przyszedł do nas przez Berlin i Chrystyanię, bije przed nim pokłony, zadzióbałaby go po prostu na śmierć. Nie jest to paradoks: Przybyszewski dostał się do literatury polskiej dlatego tylko, że pisał po niemiecku. Jego niemieczyzna jest więc zasługą, nie odstępstwem.

Z zagadnień dzisiejszych Przybyszewski podjął kwestyę kobiecą — nie tę bezmyślną kwestyę starych panien i szukających posady emancypantek — lecz istotną kwestyę kobiecą, kwestyę męską, kwestyę płciową. W tym wyborze Przybyszewski raz jeszcze stwierdził swą rasowość polską. Wszak dobrze znana pieśń ludowa sławi i dostatecznie i słusznie dzielność polaków w tej dziedzinie. Tylko że gdy w poezyi ludowej erotyzm jest czynnikiem jasnym, dodatnim, odczucie rozkoszy płciowej jest czysto radosne, niezamącone niczem — u Przybyszewskiego, przy nieosłabionem jeszcze zgoła wrażeniu rozkoszy, stosunek płciowy jest omroczony szeregiem wizyj i myśli okrutnych i potwornych. Wypływa to już zresztą z zasadniczych pomysłów jego filozofii i psychologii. Życie psychiczne jest według Przybyszewskiego narzędziem, które sobie płeć sporządziła dla pomnożenia rozkoszy własnej: wtedy powstała dusza. Ale ta delikatna naga, drżąca rozkoszą płonka, musiała się stykać z życiem codziennem, wkraczać w taką sferę spraw i czynów, z których ku niej rozkosz już nie ciekła. Musiała się prostytuować w życiu międzyludzkiem, społecznem. I wtedy chcąc uniknąć zwykłego losu prostytutek, śmierci niezaszczytnej i przedwczesnej — cofnęła się w głąb człowieka, ukryła w organach jego i sokach najtajniejszych, a na zewnątrz wytworzyła sobie maskę: mózg, świadomość, myśl logiczną. Ale w ten sposób naga dusza ocaliła wprawdzie swą cześć, lecz utraciła swój cel, utraciła rozkosz. Mózg i myśl wykluczone przez nią od rozkoszy płciowej, największej, oburzyły się słusznie i rozkoszy samej na poprzek stanęły. Indywidualność należącą do innego ludu, mniej zmysłowego, pchnęłyby może na drogę askezy, drogę pokut i zupełnego zaparcia się rozkoszy. U Przybyszewskiego, polaka, obrzydziły ją tylko, wznieciły niezaspokojenie, niezadowolenie, tęsknotę niezgłębioną, pożerającą. Zmysłowe posiadanie zwykłe nie zadawala już poety, tęskni on za jakąś większą, nową rozkoszą, za jakimś nieznanym *meta-*

coitum. Rozigrana wyobraźnia, to dziecię mózgu, mści się za pohańbienie swego rodzica i maluje Przybyszewskiemu na niebiosach wyuzdaną postać Astarty; lubieżne potężne wizye rozwieszają się na chmurach, które zachód słońca wyzłaca i krwawi — i pozostają w chmurach niedościgłe. Wobec takich obrazów, kapiących przepychem purpury, złota i skrzących dyamentów, wobec symbolów płciowych olbrzymich, jak widnokręgi nieba — jakże wątłym i bezsilnym jest zwykły wdzięk kobiecy, jak gorzko czuje poeta, że przez cieśń jej wrażeń nie prowadzi ścieżka do nieskończoności rozkoszy i Boga! Więc smutek go ogarnia, płeć staje się bezsilną — a tryumfujący mózg rzuca w tę rozpacz nagiej duszy myśl, jak pocisk, znienawidzoną myśl: *vanitas vanitatum*. Ale gdy mędrzec hebrajski wymawia te słowa spokojnie i dla nędznej rozkoszy ma pogardę uśmiechu, Przybyszewski, syn hucznej rasy słowiańskiej, woła, krzyczy, ciska się w niemocy swej, i lęka się, lęka do szpiku kości. Nie wstydzi się i nie umie cierpieć. „Totenmesse“, „Vigilien“, „De profundis“ zwłaszcza, są jednym takim krzykiem bezsiły, krzykiem głodu ku rozkoszy, którego nasycić niepodobna. Przybyszewski uczynił swą duszę duszą płciową, ale złośliwa przyroda tylko ciału dała narzędzia rozkoszy, jej zaś — odmówiła ich.

Przybyszewski nie lubi kobiet. Nie lubi ich tak, że nie lękał się meskineryi i układał na ich cześć aforyzmy. „Nawet prawda kobiety jest mimowolnem kłamstwem“ — tak streścił swą niechęć na płótnie w kawiarni Turlińskiego. Odwieczna tęsknota męskiej duszy za czystością, za pewnością, za prawdą znalazła w tych słowach bolesny, śmiesznie naiwny oddźwięk. Miałżeby Przybyszewski racyę? Kobieta... Może być jednak bardzo, że „kobieta“, ten sfinks niezbadany, tajemniczy, o którym pisano tyle, nie istnieje wcale. Istnieje tylko zawsze „ta kobieta“, „ta jedyna“, „ta mała“, *die kleine*... Wielki liryk niemiecki rymował dalej *„die feine, die reine“*. Te rymy właśnie wskutek starości mogły nieco wyjść z użycia.

Mimo to, Przybyszewski ożenił się wcześnie. O małżeństwie swem opowiada nam sam ze wzruszającą prostotą: „poznałem moją żonę, a kiedy dwoje ludzi różnego rodzaju kocha się, to się chcą żenić, czyli pozostać razem. Ale aby się ożenić, na to trzeba mieć kawałek chleba w ręku, więc zostałem literatem.*) Rozumiemy teraz dedykacye: „Mojej Żonie“, które na dziełach Przybyszewskiego tak często się znajdują.

Przybyszewski z żoną opuścił Berlin. Wyrwał się z ciasnego

*) „Tygodnik Illustrowany“ z d. 4 marca 1899.

koła doktrynerów socyalistycznych, z atmosfery, która cuchnęła zaduchem nizin społecznych — a w tej artyście trudno na zawsze wytrzymać. Wieczne pretensye i żal wydziedziczonych mogą się stać wprawdzie tematem artystycznym — z nich Hauptmann najpiękniejszy wawrzyn splótł dla siebie — ale gdy stykać się z nimi za często i za blizko przeżerają duszę, jak rdza, czynią ją ślepą i niesprawiedliwą, odrywają od górnego świata piękna, czystej poezyi i sztuki.

Przybyszewski zwiedził Europę. Siadywał nad fjordami skalistej Norwegii, kąpał swe stopy w fali śródziemnej, nad śniegiem wiecznym gór nosił pod niebem swe czoło, w gotyckich pysznych kościołach Hiszpanii siadał i powiewem piękna spopielałe ognisko swej wiary rozdmuchiwał. Wszystkie męty i kwasy współczesnego życia pierzchały odeń, wszystko, co w życiu przejściowem jest, malało mu w oczach. Zrozumiał, jak nędzną rzeczą jest czas, jak małym artysta, który z objawami jego się liczy; zrozumiał, jak bezmyślnym jest postęp świata i jak marną fala, która go niesie, jak niezmiennym, wiecznym jest tylko Absolut i Sztuka, która jest jego zwierciadłem Twórczość Przybyszewskiego pogłębiła się w tych dumaniach, wyzwoliła i zbliżyła do absolutu, aż oparła się wreszcie dumnie o jedyny niezniszczalny jego argument: *quia absurdum.* Przybyszewski wyolbrzymiał; z indywiduum, z artysty stał się wieszczem, kapłanem. Jak dawny psalmista swą lirę, tak on ujął Sztukę w ręce, wysoko nad głowy i westchnienia tłumu uniósł, i Absolutowi złożył w ofierze.

Przybyszewski, jako teoretyk i kaznodzieja Sztuki jest jeszcze bardziej może jednolity od Przybyszewskiego artysty. Jego twórczość artystyczna bezwiednie nieraz miewała kaprysy, których opętać niepodobna było, które wiodły go do świata realnego i stwarzały potężne, wstrząsające sceny, jakich nie brak np. i w „Unterwegs“ i w „Maelstrom“. Od tych zboczeń i kaprysów Przybyszewski kapłan wyswobodził się zupełnie.

I dopiero wtedy, gdy oczyścił swą duszę od wszystkiego, co było w nim chwilowe, przelotne, z życiem ludzkiem, z jego radością i bólem związane — Przybyszewski wrócił do Polski. Ojczyzna powitała go godnie swej starodawnej chwały. Zewsząd zbiegła się ku niemu młódź, uczniowie, wszystko co gardziło przejściowością, ciałem, a wierzyć chciało w Ducha i w Absolut. Przybyszewski przemówił mową ojczystą — a słowa jego zachwyceni uczniowie przyrównywali do tych, któremi Mickiewicz Boga za klęskę ludu do walki wyzywał: *Confiteor, confiteor te, Spiritum Absolutum.*

JÓZEF JEDLICZ.

PIEŚNIARZ WIEKU.

Słońca, gwiazdy i bóstwa zgasły w mej źrenicy,
Lecz jam zamknął w bezdennych głębiach swego łona
Cały świat... wizye dziejów — mityczne plemiona
Na wieczność skamieniałe w zapomnień krynicy.

Wskróś cichej duszy mojej huczy nieskończona,
Przesmutna pieśń odwiecznej istnień tajemnicy
I ból ukrzyżowanej, świętej męczennicy —
Ludzkości ból w mej duszy targa się i kona.

Ból — wyrocznia w najgłębszych tajniach mojej duszy
Odsłania jasnowidzeń jeziora przeczyste
I wszelkie marne żądze przetrawia i kruszy.

Cierpię — lecz czytam jasno dziejów runy mgliste
I tworzę hymn przyszłości — hymn czynu! W katuszy
Rodzi się wszystko. W bolu tkwi szczęście wieczyste.

MALWINA POSNER-GARFEINOWA.

ANATOL FRANCE.

.... Pytałem o drogę wszystkich, którzy jako kapłani, uczeni czarodzieje i filozofowie znają podobno geografię sfer niepoznanych. Nikt z nich nie powiedział mi dokładnie, kędy leży jedyna dobra droga. Dlatego wśród wszystkich wybieram tę, która umajona zielenią wielkich cienistych drzew przyciąga ku sobie uśmiechy najpogodniejszego nieba. Wiedzie mnie po niej poczucie piękna. Kto ma pewność, że kiedykolwiek lepszego znalazł przewodnika? Więc idę i za poetą powtarzam:

„Szczęśliwy, kto jak Ulysses piękną odbył wędrówkę“.....

Kto poczuciem piękna wiedziony zapragnie Ulyssesowego szczęścia, niech wnijdzie w ogrody duszy Anatola France'a. Niby

jasne, nieskończone sklepienie niebios wznosi się nad nimi bezkresna kopuła świątyni Myśli. Tu, o wieczornej godzinie, gdy umilkł gwar dnia roboczego, z drzew i wód, z traw i kwiatów schodzą, jak mgły wiosenne, dziewicze cisze. Klękają pobożnie, wznoszą oczy w górę i mówią:

— O Myśli! Stworzyłaś i nazwałaś nas tak, jak stworzyłaś i nazwałaś gwar, ruch, przestrzeń i wszystko, co ją wypełnia, a bez czego istność nasza byłaby niemożliwą. Pustynię życia zaludniasz, z pyłu i piasku układając złotem lśniące wzory. Jak klejnot czarodziejski płoniesz na czole człowieka, któremu służymy dlatego że odwiecznem jesteś jego szlachectwem i jedyną godnością. Oto umęczon jest człowiek wysiłkiem dnia i nasycon wszelką potrawą życia: a gdy tak niczego nie pragnąc, nas na pociechę sobie wzywa, spowiada się nam, że tylko ciebie syt nie jest, że tylko twego wnijścia z niemilknącem czeka upragnieniem, że tylko twoją czując blizkość, mocen jest trudzić się bez końca, a potu nie przeklinać. A gdy okrążamy go i otulamy mgłą naszych tchnień, by wchłonął je i zasnął, widzimy, że jeszcze ku tobie wyciąga ręce i na posłaniu, jak najmilszej szuka cię kochanki.

I służąc mu, jako mu służyć nam rozkazałaś, opowiadamy mu o bogactwie państw twoich, o ukrytych w niem skarbach, o rozliczności i barwności dróg twoich, o niespodziankach, które pobożnym gotujesz pielgrzymom, o miodzie, którym ich poisz, o kwieciu, którem ścieżki ich umajasz.

I mówimy mu, że w tym śnie jednej godziny, którym jest życie, w tym śnie, w którym wszystko jest złudzeniem, ty tylko, o Myśli, prawdą jesteś i pewnością. Bo nie powiadasz, żeś jest jedyną prawdą i jedyną pewnością. Ile dróg twoich, tyle prawd twoich. Mówimy mu, że nie rozkazujesz złorzeczyć i przeklinać, że każesz tylko rozumieć, że tych zwiesz wiernymi, którzy w nic nie wierzą, ponieważ natenczas tylko niczemu nie przeczą.

A gdy człowiek pyta, czy dobra jesteś, o Myśli, odpowiadamy mu, żeś jest pobłażliwa i człowiek błogosławi cię i chwali.

A gdy człowiek pyta nas, co jest krwią i istotą twoją, odpowiadamy mu, że żyjesz biegiem, ruchem i wieczną względnością rzeczy, które stworzyłaś, że więc tobie i istocie twojej ślubując, nieskończoności ślubuje. I za to, że w śnie jednej godziny dajesz mu nieskończoność, człowiek błogosławi cię i chwali. —

Tak w ogrodach duszy Anatola France'a do Myśli mówią wieczorne cisze.

Myśl zaś z poza błękitnej kopuły migoce gwiezdnemi oczami,

uśmiecha się i zadowolona jest, że z tych właśnie ogrodów wznosi się ku niej głos zrozumienia. I aby nie zaniknęło, aby nie zachwiało się w jedynej swej podstawie, co wieczór powstać każe ciszom, i iść, i znieść od gałęzi do gałęzi, od płatka do płatka mądrość, którą tchnęła niegdyś w usta wielkiego d'Alemberta.

I oto co powtarza za ciszami dusza Anatola France'a:

„Pewnego dnia, w pewnym ogrodzie spotkały się dwa zwierciadła: płaskie i wypukłe. — „Bezczelnością jest — rzeknie zwierciadło płaskie — odbijać naturę tak, jak ty to czynisz. Trzeba chyba być szalonym, by nadawać tak ohydny kształt przedmiotom i zmieniać linie proste w linie zupełnie krzywe". – „To ty pozbawiasz przedmiotów właściwego im kształtu", odpowiada z urazą zwierciadło wypukłe. „Płaska twoja osoba wyobraża sobie, że wszystko naokół jest płaskie. Tymczasem pnie drzew są krzywe. To ja pokazują prawdę — ty zaś kłamiesz!" — „O, przepraszam, ja nie kłamię. Ty, przyjacielu karykaturujesz rzeczy i ludzi!"....

Sprzeczka stawała się coraz gorętszą. Przypadek chciał, że przechodził właśnie drogą d'Alembert i, usłyszawszy waśń zwierciadeł, tak się odezwał:

— Macie oba racyę i mylicie się oba. Oba odbijacie rzeczy według praw optyki. Każde po swojemu czyni to doskonale. Zwierciadło wklęsłe dałoby odbicie jeszcze inne a niemniej również doskonałe. Co zaś do natury, nikt nie zna prawdziwej jej postaci i przypuścić by nawet można, że tylko o tyle ma postać, o ile ją odbijają zwierciadła. Nie obrażajcie się tedy wzajem, i nie wymyślajcie sobie od szaleństwa jedynie dlatego, że otrzymujecie różne rzeczy i ludzi odbicie!....

Tak co wieczór myśląc, dusza Anatola France'a skrzepła i stała się sobą. Stała się sceptyczną, pobłażliwą i piękną.

Rozrastały się jej ogrody, coraz większe dla spacerów myśli zataczając kręgi. Zaludniały się duchami, które od kolebki aż do grobu towarzyszyć będą ludzkości. I chociaż było ich dużo i coraz więcej, chociaż różnego były pochodzenia i różnej natury, żyły obok siebie w zgodzie i słodkiej harmonii, zachowując swój przyrodzony wdzięk i nigdy gwałtownej nie wszczynając walki.

Wspomnienia słodkiego dzieciństwa i smutek rzeczy minionych, miłość piękna i świadomość o znikomości jego form, miłość natury i widoczne ślady jej okrucieństwa, miłość życia i pewność śmierci, miłość człowieka i bolesna znajomość jego wiecznych słabostek i ułomności, miłość dla myśli wreszcie i te przez nią samą od tak dawna obwieszczone słowa: „Kto mądrość mnoży — zgryzotę

mnoży“: — wszystkie te przez nieostrożną mowę ludzką mianem dobrych lub złych obdarzone duchy żyją tu razem, bawią się każdy na swój sposób i nigdy gorzkich nie czynią sobie wymówek.

Przeciwnie, wzajem usiłują się zrozumieć, bez trwogi patrzą sobie w oczy i wyczytują zda się w nich rzeczy, które im dają moc pobłażania.

Bo i o co i na kogo się gniewać?

Na człowieka, że nie jest doskonały? Na tego człowieka, któremu przebaczyły już „Ptaki“ Arystofanesa, mówiąc:

„Słaby, do liścia podobny człowiecze, nieszczęsny tworze skazany na żywot przejściowy i znikomy, o! cieniu, o! śnie!“....

Na tego człowieka, któremu w kolebce jeszcze niańki wyśpiewują treść i przeznaczenie życia w tych głębokich słowach:

Les petites marionnettes
Font, font, font
Trois petits tours
Et puis s'en vont.

Na cierpienie?

Na niem przecież, jak na granicie, wzniósł człowiek miłość i odwagę, bohaterstwo i litość, uroczyste prawa, straszliwe cnoty i cnoty czarujące. Niech runie podstawa, a runie wszystko, co na niej zostało wzniesione. Ludzkość ma nawet mglistą świadomość o potrzebie cierpienia. „Szczęśliwi, którzy cierpią — biada szczęśliwym!“ powiedziała Ewangielia i dzięki temu słowu od 2000 lat panuje nad światem....

Więc może gniewać się na naturę?

Jest-żeż ona zła lub dobra? Jest tylko obojętna. Może ma nawet jakiś swój ukryty ideał, któż wie? Nie można jej nienawidzić i nie można winić, bowiem jest wszystkiem a wszystkiem być, to rzecz niemała. Wydaje się człowiekowi, że jest zła, a więc na pociechę powiedzieć sobie może, iż lepszy jest od niej. Gdyby to było w jego mocy, tchnąłby w nią miłość, współczucie, sprawiedliwość i litość, — wszystkie owe rzekome prawdy i prawdziwe złudzenia, któremi osładza sobie bój życia. Widząc jej wady, człowiek dostrzega cnót swoich, ludzkich cnót, którychby może bez tego nigdy nie dojrzał. A przecież i to ma jakąś cenę!

Więc i natury przeklinać niepodobna.

A miłość?

Mój Boże! Należałoby się zastanowić, czy sprostowanie popełnionej przez mitologię pomyłki nie zmniejszyłoby żalów człowieka w stosunku do miłości. Mitologia orzekła, że Amor jest synem We-

nery. To nieprawda. Amor jest najstarszym z bogów, Wenera zaś jest jego córką. Gdy przyszedł na świat, nie było jeszcze ani sprawiedliwości, ani inteligencyi; w materyi kosmicznej nie znalazł niczego, coby mu posłużyć mogło na mózg, oczy, uszy: obdarzony był jedynie instynktem i takim pozostał. Działa tedy naoślep. Nie jest bynajmniej owem dziecięciem skrzydlatem, do którego uśmiechamy się w myśli, jak do słodkiego, niewinnego wspomnienia. Jest raczej bezgłowym turem, który bez idei przewodniej, bez moralności, bez inteligencyi dokonał olbrzymiej pracy. Odwieczny i nieśmiertelny — w ciągu lat i lat nie zmienił ani natury swojej, ani metody: — pozostał ciemny, ślepy i nigdy nie posiłkował się rozumem. Nie uczyni też tego nigdy i ma słuszność. Gdyby bowiem życie uczynić zawisłem od rozsądku, ustałoby rychło.

A byłoby go żal, bardzo żal!

Bo ma chwile słodkie, chwile pełne niewypowiedzianego czaru i niewypowiedzianych rozkoszy.

Były dnie, kiedy pod pieszczotą wiosennego słońca wybrzeża Sekwany, powietrze i woda wołały ku sobie migotliwością najpiękniejszych uśmiechów. Matka mówiła wprawdzie, że rzeki wpadają do Oceanu i że fale Sekwany płyną, odpływają bezustannie. Dziecku wszakże myśl ta wydawała się bezbrzeżnie smutną, więc odpychało ją i cieszyło się, nie myśląc już i nie pytając, jasnością poranku, błękitem wód i nieba, gwarem, ruchem, tłumem. Była w domu biblia z ślicznemi obrazkami, z arką Noego, z wieżą Babel, z Adamem i Ewą, z Rebeką u studni, z Jakóbem pasącym trzody Labana, z całem mnóstwem świętych ludzi i wielkich rycerzy, w pysznych i świetnych strojach, z rajem wreszcie, w którym rosły cudne, złote jabłka. Na stokach Trocadera zaś rosły kwiaty, które można było rwać i zbierać do woli: stoki Trocadera tedy były dla chłopca owym biblijnym rajem. Potem przyszły lata szkoły. Wracając z niej nieraz wstępował do księgarni ojca, na brzegu Sekwany położonej, i tam przysłuchiwał się rozmowom poetów. Zachwycał się nimi, nic prawie nie rozumiejąc. Miał jakieś nieświadome przeczucie, że oni to posiadają tajemniczy klucz do zaczarowanych pałaców dobra i piękna. Podczas lekcyi retoryki, której arkanów nigdy też nie posiadł, czytał Maryannę Juliusza Sandeau i kochał się w niej, — czytał poezye Safony i płakał nad jej bólem. Gdy podczas wspólnych, nudnych obiadów w Collège, wśród brzęku nakryć i talerzy odczytywano tradycyonalne ustępy z historyi starożytnej, chwytał urywane i blaskiem lśniące słowa, i upajając się niemi, tonął w rozkosznych wizjach Piękna.

...Wpłynęła do portu Kydnos na złocistym okręcie o purpurowych żaglach i wiosłach ze srebra. Grały flety — woń pachnideł biła w przestrzeń. Otoczona orszakiem Nereid i Amorów stanąć miała przed Antoniuszem — Najpiękniejsza...

Nie jadł, ukarano go, lecz nie czuł ani bólu, ani upokorzenia. Kochał i widział wtedy Kleopatrę.

Był szczęśliwy.

Prześliczna biblia z rycinami rozpadła się na strzępy, kartki niejednej książki ukazały mu zgryzotę i boleść, z oceanów życia wypływały ku niemu nietylko czarodziejki — Kleopatry. Lecz on nie przestał patrzeć na naiwny wdzięk tych obrazów, którymi pierwotna wyobraźnia rozweselała i tłómaczyła zagadkę bytu, oczami zdumionego dziecka; co chwila trącając o zwątpienia, nie wyrzekł ani razu gorzkiego słowa „wątpię“ — przeciwnie, wszelką gorycz i ciemność serca rozproszył słonecznemi słowami: „wierzę“ — w nieskończony bieg i nieskończoną względność rzeczy. I nie przestał czerpać szczęścia ze zdrojów nieśmiertelnego Piękna. Biją one dla niego wszędzie, gdzie było i jest życie, wszędzie, gdzie czuje i wypowiada się człowiek. Na drzewie wielkiej wszechludzkiej kultury dusza Anatola France'a jest jakoby przepyszną koroną, którą uplotły najświeższe, najwspanialsze i najrozliczniejsze drzewa tego gałęzie.

Kocha życie i każda postać, każdy kształt życia ma dla niego wdzięk niewypowiedziany. Powiedziećby o nim można, że podobny jest do owej księżniczki ze starej francuskiej *chanson de geste,* do księżniczki Roussillon, która po bitwie stoczonej w jej obronie u wrót pałacu w późną noc zeszła ze swojej wieży, by obaczyć jeszcze „tych drogich zmarłych, co snem wieczystym usnęli wśród traw i chłodnej rosy. Wszystkich po kolei chciała ucałować“. I on czuje dziwną rzewność, gdy okiem pamięci obejmuje odległe, minione epoki, — ludzi, którzy byli i po swojemu kochali Piękno, rzeczy, które stworzyli, a po których pozostał tylko proch wspomnienia. Wszystko to objąłby serdecznym uściskiem, a jeszcze nie zbrakłoby mu serdeczności i podziwu dla tych, którzy są dzisiaj, i dzisiaj pracy — wszelakiej pracy życia — służą.

Kocha człowieka i nie oburza się na jego ułomności, bo nie spodziewał się nigdy, aby mógł być doskonały. Tylko czasem na widok zawikłań, które sprowadza człowiek pychą i niewyrozumiałością swoją, lekki uśmiech ironii, tej ironii, która jest chochlikiem refleksyi — błąka się po mądrych jego ustach. Ale i ta ironia pełna jest jeszcze dobroci i pobłażania. Nie oburza się na prawa, bowiem

nie spodziewał się nigdy, by ustanowiono dobre. Nazwał go niegdyś Adrian Hébrard, dyrektor czasopisma „Temps“ „un bénédictin narquois“. I sercem należy on istotnie do jakiegoś mistycznego bractwa, które związane jest łagodną regułą wyrozumiałości, pobłażliwości oraz szacunku dla siebie i innych.

Przez długie lata żył, jak to powiadają, bezczynnie. Marzył i myślał. Obecnie pisze, jak żył wtedy: marzy i myśli. Cała jego działalność literacka jest tylko koniecznym i logicznym wynikiem filozofii, którą dowiódł największej odwagi: odwagi myślenia.

Nieraz zasłony czasów wychyla się ku niemu odwieczna i niewiadomo skąd idąca postać niewieścia. To Melancholia. Lecz spojrzawszy w jasne, świadome oczy tego najsłodszego z marzycieli, posyła mu po przeż łzy uśmiech dobrotliwy i odchodzi, pozdrowiwszy go życzliwem słowem: „Pokój ludziom dobrej woli!“

On zaś przechadza się dalej po kwietnych drogach Myśli i Piękna i, siadłszy gdzieniegdzie w pobliżu świętych gajów lub fontan muzom poświęconych, wzywa przechodniów, mówiąc:

„Ktokolwiek jesteś, przyjdź i spocznij ze mną w cieniu tego pięknego lauru, byśmy dospołu hołd oddali bogom nieśmiertelnym“.

LUŹNE KARTKI.

Okruchy.

(Far.). Po dymisyi hr. Thuna Austrya przedstawia obraz — jedyny w historyi państw, zarówno konstytucyjnych, jak i absolutnych: — j e s t b e z r z ą d u i b e z p a r l a m e n t u — rzekłbyś: ów słynny nóż Lichtenberga bez ostrza, któremu brak trzonka.

* * *

Każdy nożownik wie, że aby nóż służyć mógł do użytku, ostrze musi wyrastać z trzonka. Nic to dziwnego: chcąc zostać nożownikiem, musi przedstawić dowód uzdolnienia w swem rzemiośle. Natomiast o rzemiośle ministerskiem ustawa przemysłowa nie wspomina, skutkiem czego minister nie musi wiedzieć tego, co wie nożownik.

* * *

Nie musi więc minister wiedzieć, że aby machina państwowa normalnie funkcyonowała, ostrze-rząd musi wyrastać z trzonka-parlamentu i że zniknie nóż-machina, jeśli ostrze wyszczerbi się na operowaniu swego trzonka.

* * *

I ministerstwo de nomine Thun, de facto czy factis Kaizl wiedzieć tego nie chciało, uważało bowiem, że rząd istnieć może bez parlamentu, zwróciło się przeciw parlamentowi i wyszczerbiwszy się w tej walce, przestało być ostrzem. Stało się nieużytecznem żelaztwem, a noża — jak niema tak niema.

* * *

Zaczęło się więc nowe konstruowanie noża — : uzdrawianie parlamentu i tworzenie się gabinetu. Do zniszczonego jednak trzonka trudno dopasować ostrze a nawet pozornie dobre okazać się musi prędzej czy później niezdatnem.

* * *

Wyprzedaż foteli ministeryalnych członkom pewnych grup parla-

mentarnych za cenę poparcia ze strony tychże grup nie może uratować zagrożonego bytu państwa. Sumienie ludu czy ludów nie tak łatwo uśpić się daje jak sumienie jednostki. Staje ono po każdej komplikacyi groźniejsze niż przedtem i domaga się zadośćuczynienia i naprawy.

* * *

Naprawy! Czyż można o niej myśleć wśród tej mieszaniny sobkostwa i daltonizmu politycznego, jakie przedstawiają „męże stanu“ w Austryi? Parlament obecny jest przeważnie, bo w $^4/_5$ częściach, reprezentacyą interesów klas posiadających. Socyalno-polityczne prądy naszych czasów zaś prowadzą z konieczności do tego, że klasy posiadające przestają być „narodem“ i rozstać się muszą z kierownictwem właściwego narodu.

* * *

Antagonizm interesów poszczególnych klas jest tak silny, że zakryć go — choćby pozornie — może tylko coś silniejszego — namiętność. Cóż więc dziwnego, że prowodyrzy klas posiadających rozbudzają w narodzie namiętność narodowo-rasową, aby się utrzymać przy władzy? Zręcznie podsycany szał oślepia tak, że nędzarz nie dostrzega nędzy, w kacie zaś swoim widzi dobroczyńcę. Ślepota dochodzi do tego, że nawet niezręczność prowodyrów przestaje razić.

* * *

Czesi są moskalofilami — może nie tyle z uwielbienia dla Rosyi, ile ze względów politycznych. Podczas gdy Wolf i Schönerer grożą przywołaniem brata z Berlina, Herold czy Kramarz zasłaniają się bratem z nad Newy, a chęć przypodobania mu się i autosuggestya prowadzi ich do tego, że widzą w tym bracie same zalety, jego nieprzyjaciół zaś i za swoich uważają wrogów. Więc p. Tuma urządza w Ostrawie rosyjskie festyny i oburza się na polaków, czczących obchodem Mickiewicza — wroga caratu. To mu nie przeszkadza należeć do prezydyum zjazdu dziennikarzy słowiańskich w Krakowie i udawać tu przyjaciela polaków — skoro ich pomoc potrzebna jest do walki przeciw niemcom.

* * *

To jest interes; jest więc obrzydliwe, jak każdy interes. Mniejsza o to. Lecz gdzież opinia polska? Dlaczego ta pyszna, ta wszechmożna opinia nie protestuje przeciw takiemu szalbierstwu? Ślepa ślepotą namiętności — nie widzi. Ta namiętność zaś to woda na młyn polityków, których jedynem marzeniem chwała narodu *ab ego*, wywyższenie narodu przez wyśrubowanie siebie na fotel ministra lub inną intratną posadę: Mówi się wtedy o „zdobyczach narodowych“. Namiętność ta pozwala nie dostrzegać, że ci „patryoci“ i warstwy przez nich reprezentowane stracili wszystkie hasła polityczne i ekonomiczne i umożliwia wysunięcie jedynych pozostałych haseł — narodowych.

* * *

Nowego trzeba noża, a więc przedewszystkiem nowego trzonka nowego parlamentu, nowego od podstaw. Czy zniesienie przywilejów wy-

borczych, zniesienie kuryj i zaprowadzenie powszechnego, równego i bezpośredniego prawa wyborczego nie byłoby prostem a radykalnem lekarstwem dla usunięcia z powierzchni polityków-geszefciarzy i czy nie powołałoby ono do rządów warstw, których dobrze odczute potrzeby polityczne i ekonomiczne doprowadziłyby do łatwej a słusznej zgody na polu narodowem?

List z Warszawy.

(*Andrzej Niemojewski „Przyjęcie Benjaminka“*). — Coś przed dwoma laty Sława uniosła swą trąbę miedzianą nad Warszawą i wyrzuciła z niej jedno, jedyne słowo:

— Rostand!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Paryża, kolebki wciąż oczekiwanego cudu, a trąbki reporterskie zagrały hejnał!

— Cyrano de Bergerac! — szeptały drżące usta pasterzy sztuki.

— Cyrano de Bergerac! — powtarzały szeptem usta rybaków teatralnych.

Na niebo wypłynęła betleemska gwiazda nowego imienia, a Kacper, Melchior i Baltazar, trzej królowie krytyki, wyszedłszy na jej spotkanie z mirą. kadzidłem, lecz bez złota, orzekli:

— Tak, to jest on oczekiwany i zapowiedziany!

I radość szła przez miasto od domu do domu, pukając do każdych drzwi, aby je otworzono i aby spojrzano na niebo, na którem ukazał się ów znak.

Odetchnęli wszyscy prorocy i na nowo rozwiązali swoje języki, aby głosiły odwieczną prawdę ich nieomylności.

Księgarnie, które wedle słów Massoniusa, po za Sienkiewiczem i książkami do nabożeństwa nie widziały zbawienia, sprowadziły kilka wagonów egzemplarzy tekstu francuskiego, a zastęp poetów i rymopisów, zastrugawszy orle pióra i umaczawszy je w swej krwi serdecznej, jął się przekładu arcydzieła na twardą mowę ludu, zamieszkującego ziemię, na którą promienie słoneczne padają pod kątem zaledwie dwudziestu stopni.

I dokonała pierwszego przekładu Konopnicka z Zagórskim, a przekład ten jest istną perłą w koronie piśmiennictwa naszego. Język tam miękki, jak najcieńsza tkanina, a mieni się od klejnotów wyrażeń, nasypanych z królewska.

I dokonał przekładu Kasprowicz, który jest między poetami wojownikiem o własnym rynsztunku i znaku.

I dokonał przekładu Londyński, aby się spełniła przepowiednia, że i najlichsi służyć mu będą.

Ale przyszedł on na świat warszawski nie w Rozmaitościach, które są jako Jerozolima przy innych miastach Judei, jeno odbyło się to na ustroniu, w scenicznym żłobku Bagateli.

Albowiem Rozmaitości zajęły się Hauptmanem i jego „Dzwonem zatopionym“, którego mistyczne dźwięki pozostały niezrozumiałe dla Kacpra, Melchiora i Bałtazara, trzech królów krytyki, czego dowodem ich recenzye, w których było albo za dużo erudycyi, albo za mało, ale

zrozumienia nie było wcale. Nie zraziło to jednak Rozmaitości, które dzwoniły tym Dzwonem prawdę, piękno i polot, a w sezonie bieżącym dzwonić nie przestaną.

A on, powity w Bagateli w pieluszkach mowy Londyńskiego, gdy Wołowski ciągnął ze swojej Łodzi na letnie święta do Warszawy i w drewnianej szopie obozował, powitany i uczczony był najpierw przez onych trzech wschodnich królów krytyki, którzy mu nie skąpili kadzidła, choć złota ani oni, ani publiczność nie dała za to Wołowskiemu.

I pisał Kacper:

— W lichym żłobku ukazałeś się nam, aleśmy się na tobie poznali, bo prorok Sarcey ciebie nam zapowiedział.

I pisał Melchior:

— Nie dał ci Wołowski królewskiego wezgłowia, aleśmy cię poznali, bo śród nocy, jaka zapanowała dla naszych oczu, wyszło świecenie mocne z Paryża i zaprowadziło nas tutaj, byśmy się tobie pokłonili.

I śpiewał piórem Baltazar:

— Wół, osioł, wół, osioł przed nim klękają, bo swego, bo swego pana poznają...

W on czas Herod literatury rozesłał swoje sługi, aby wymordowały wszystkie nowonarodzone na konkursach. Co się też stało.

Ale sługi owe nie zajrzały do Bagateli, dokąd posłane nie były. Przeto wstał z pieluszek przekładu Londyńskiego on przez królów krytyki uczczony, a przyodziawszy się w niepokalaną szatę tłómaczenia Konopnickiej i Zagórskiego, ujął palmę hegemona i na osiołku francuskim, który się u nas nigdy nie potknie, ruszył już bodaj w niedzielę kwietniową do Rozmaitości, Jerozolimy naszych teatrów.

Tłumy, dowiedziawszy się z gazet o tym pochodzie, wołały: „Hosanna!“

Reżyserya zakrzątnęła się, a Frenkel i Żelazowski poczęli się oglądać za olbrzymimi nosami, aby stało się zadość słowom niemieckich krytyków, że to jest „eine Nasentragödie“.

I będzie on tam uczczony, następnie zaś, wedle przepowiedni Massoniusa w rozdziale: „Nasz teatr dramatyczny“, ubiczowan, umęczon i pogrzebion na dwudziestem z rzędu przedstawieniu.

W następnym sezonie zmartwychwstanie jako „wznowienie“, ale nie siądzie po prawicy Fredry.

I przyjdzie czas, kiedy potomność sądzić będzie żywych i umarłych. Ale jego do żywych nie zaliczy.

A gdy nastąpi grzechów artystycznych odpuszczanie, policzone mu będą wszystkie dlatego, że był w swoim czasie zanadto uczczon.

O czem tu i ówdzie pierwsze głosy już się odzywają; ale są to głosy, nieposiadające wielkiej liczby prenumeratorów.

Żeby zaś stało się zadość powiedzeniu: sądzić masz sądem sprawiedliwym a nie stronnym i odważnym masz być wtedy, gdy ten, z którym się chcesz rozprawić, kroczy w największem słońcu, nie zaś wtedy, gdy mgławi się w cieniu — mówić o nim będziemy wtedy, kiedy ukaże się nam w słonecznej wystawie Rozmaitości, poprzestając obecnie na zaznaczeniu, jakiego przyjęcia doznaje u nas Benjaminek francuski.

Z Gorców.

(W. O.) Mamy tu między czterema porami roku — piątą: t. zw. porę dzików, którą lud nazywa poprostu „świńską“ porą. Trwa ona od połowy lata do późnej jesieni, to jest: od czasu, gdy się zboże poczyna zapoływać, aż do wykopania ziemniaków.

W porze tej zapytaj chłopa, co go najbardziej gniecie — odpowie: dziki. Czego się lęka? — dzików... Na kogo pracuje? — na dziki... i tak bez końca, bez ustanku. Na nic też ludzie w tym czasie tak nie narzekają, jak na tę „plagę nieszczęsną“, o niczem tak chętnie nie gwarzą, jak o tej „przeklętej gawiedzi“, która przyszła nie wiedzieć skąd na wieczne utrapienie człeka.

— Bywały tu — powiadają — drzewiej i wilki i rozmaita zwierzyna, a nic się tak chłopu nie dało we znaki, jak te nieboskie stworzenia. Bo wilk, bywało, porwie raz do roku jedno jagnię — no szkoda, bo szkoda, ale pal cie dyabli! Wziąłeś — toś wziął — to się ino raz najesz, a chłop i tak bez jednego jagnięcia wyżyje... Ale te psiekrwie zatracone nie kontentują się byle czem — ino ziemniaczka kiebyś im wsadził, zboża nasiał po korcu, toby jadły! — Pracuj bez całą wiosnę, orz tę ziemię skalistą, kup, jak nie masz co wsiać, proś Boga, żeby to rosło — a tu przydzie psiapara do gotowiusieńkiego i zeżre.

Najgorzej w czasie zbiórki; wtedy się cisną do wsi całemi gromadami. A ludzie chodzą jak w sennym obłędzie i skarżą się po cichu. Ten powiada: „zryły mi ziemniaki, ukopać nie będzie co“ — inszy mówi: „owies mi starasiły i zjadły do imentu“...

— Człek sie we dnie narobi — skarży się trzeci i dziesiąty — człek się napracuje bez caluteńki boży dzień, że jak przydziesz wieczorem do chałupy, to ino pozierasz, kany ledz, kany kości wyciągnąć na ławie — a tu idź w pole z chałupy, jak pies, na całą noc! Nie zagrzej miejsca nikany, ślęcz, skowycz na ugorze do rana! Jeszcze jak noc pogodna, to chwała Bogu. Ale jak padnie deszcz i psota!... Wrócisz rankiem skostniały, jak żerdź na mrozie.

Wyjrzeć nocą na pole — to cała wieś żyje, śpiewa i gra...

— Cóż z tego? — mówią ludzie — kie sie dziki nie boją. Oswoiły się z graniem i tańcują se po zagonach, aże ziemia dudni. Takie to ścierwo dojadłe.

Nieraz opowiadają sobie, jaki to kontrakt zawarły dziki z wilkami, frymarcząc chłopską krzywdą.

— Dziki padają, były drzewiej na wygnaniu, pod obcym królem. Musiały się tam żołędziami żywić i bukwią, aże im sie to nareszcie przejadło. Toż to zebrały się do kupy i radzą, czyby się nie dało kany lekcej żyć; dawno już o tem wiedziały, że chleb z cudzej pracy daleko lepszy, No i zwiedziały się jakosi o tych stronach, że tu chłop, wiecie, głupi jest i niezaradny — i chybaj-że! prościutko, jak po swoje. Ba, ale tu już byli insi panowie — panowie wilcy, którym trza się było drogo opłacić, abo wrócić nazad z Panem Bogiem... Nieurada! Co było robić? Wysłały swoich deputatów na radę: My wam — padają — damy swoje miejsce, ka was nikt nie bedzie prześladował, a wy nam dejcie swoje, bo tu znowu nam bedzie poręczniej. Wilczoszki madre, przebie-

głe, targowały się długo i rzetelnie. Ale wilczym węchem przeczuły, że tu wnet lasy wytną — nie bedzie kany i jagnięcia schować, ani wyspać sie przy czasie należycie — i przystały na ten fyrmak... Czy lepiej na tem wyszły, to kto wie! Bo ich się ta nikt nie chodził pytać .. Ale dziki to już wygrały terno. Im ta o to nie idzie, że lasy powycinali, bo ta psiajucha katędy ryj wsunie, i wyśpi się za dnia ślebodnie, a w nocy to już je pan: nie boi się nikogo, bo wie, że go nie zastrzelą. Z początku, to im ta nieśmiało szło to gazdowanie po cudzych gruntach, ale teraz nie boją się nic, ospanoszyły sie tak, że im sie ognać nieporada.

— Że też „Kraj“ pozwala na to! — szepczą kobiety w naiwnej swojej nieświadomości.

— Kraj ma co inszego do roboty! — odpowiadają zgryźliwie chłopi. — Czy my to panowie, abo co, żeby sie o nas trapił! Kraj swoją drogą — a my i dziki swoją...

Zrezygnował już lud ze skarg, widząc, że te się na nic nie zdają — i w cichości przeklina „dopust boski“.

Ale gorycz sączy się po kropli do serc — a z kropli powstaje morze...

Przegląd teatralny.

(Ez.) Słowacki cieszy się słusznem uznaniem naszych dyrektorów teatralnych. — P. Pawlikowski na zakończenie obdarzył nas „Nową Dejanirą. Wieczór inauguracyjny pod nową dyrekcyą p. Józefa Kotarbińskiego, rozpoczął się przedstawieniem „Złotej Czaszki“.

Nie będziemy omawiali tego genialnego fragmentu, który już tak często roztrząsano, możemy tylko wyrazić wdzięczność dla nowej dyrekcyi za zaznajamianie szerszej publiczności z niewystawionym dotąd na deskach teatralnych utworem naszego wieszcza, a artystom — za traktowanie utworu tego z należytym pietyzmem.

„*Matka Polka*“, sztuka w czterech aktach, napisała Marya na tle stosunków rosyjsko-polskich.

Debiut autorski panny Maryi, ozdobiony po pierwszym akcie wieńcem laurowym, przyniósł nam sztukę opartą na uczciwej tendencyi, dobrych chęciach, silnej woli i pracowitości, które o wadach sztuki, naiwności pisarskiej i sztucznej deklamacyi zapominać każą. Autorka przedstawia nam perekińczyka Primirskiego, który starszą swą córkę wydał za szefa tajnej policyi, generała Abrusina — młodsza zakochała się w młodym polaku, zesłanym w głąb Rosyi za przestępstwo polityczne. Na tle tej miłości, jakoteż na tle apostazyi Primirskiego, która mści się potem na jego wnuku, rozwija się treść całej sztuki. Temat nie nowy — budowa pełna dyalogów i tyrad niedopowiadanych, czyni akcyę nieco nudną i dzięki tylko dobrej grze artystów i starannej wystawie, sztuka została przychylnie przyjęta przez publiczność, która zapewne kierowała się więcej sympatyą dla znanej w Krakowie autorki, niż dla jej dzieła.

Gra p. Zawadzkiego, jako generała Abrusina, zasługuje przedewszystkiem na wyróżnienie; pp. Węgrzynowa, Przybyłko i p. Tarasie-

wicz również wywiązali się dobrze z trudnego zadania, aby ożywić gadające w ich roli manekiny.

„*Frazesowicz*“, komedya w pięciu aktach a sześciu odsłonach, napisał Gryf (odznaczona na konkursie „Kurjera Warszawskiego“ w 1898 r.)

Ten dodatek „odznaczona“ budził już wielkie zainteresowanie i zaprawdę więcej spodziewaliśmy się, niż zostało nam dane.

Bohaterem sztuki jest prezes Andrzej Skaliniecki, który wierność tradycyom swych przodków, stwierdza tak czynem jak i słowem. Nadszarpawszy grubo swej fortuny grą w karty, skupywaniem koni wyścigowych i wielu innemi moralnemi zabawami, postanawia ratować honor i mienie — i w tym celu chce córkę swą Janinę wydać za syna nadwornego swego bankiera Sterna, który od dawna na majątku pana prezesa dobrze się zahipotekował. Planom tym na drodze staje Adam Gorycki, nauczyciel wiejski, marzyciel, który aby módz lepiej lud poznać i dla niego pracować, zostaje nauczycielem na wsi, mimo iż lepsze mógł zdobyć stanowisko, mając ukończone studya uniwersyteckie. Romansowa dama, żona prezesa p. Julja, znudzona zbyt monotonnem życiem na wsi, pragnie gwałtownie flirtu — i postanawia schwycić w swe sidła młodego nauczyciela — wzywa go do pałacu i prosi, aby zechciał córce jej Janinie poświęcić parę godzin dziennie na lekcyę historyi i literatury. Gorycki zgadza się, a kształcąc umysł i serce p. Janiny, jedna sobie to, co często w takich sytuacyach się zdarza — jej miłość.

Wobec tego plany p. Skalinieckiego upadają, a honor domu ratuje nieodrodny synek swego papy Juliusz — prosząc bankiera Sterna o rękę jego córki.

Jest to jedna z tych sztuk, których „niebo nie chce, a piekło wypluwa“. Błędy.... jest ich dosyć, ale wszystkię jakieś drobne, pospolite, nędzne, że oburzyć ani drażnić nie mogą. Zalety — i tych nie brak — chociażby taka lekcya historyi z p. Janiną w trzecim akcie — ale zalety te znów ani jednej chwili nie mogą przykuć uwagi i porwać widza — tak są nikłe. Sztuka przesuwa się przed oczami, jak jakaś nudna i niepotrzebna fantasmagorya, która widziadłami swemi nawet snu nie skraca, i przerażony widz mimowoli szepce w duchu.... „dobrze, dobrze.... Ale cóż mnie to wszystko obchodzi?“... Doprawdy nic a nic... Sztuka ta stanowczo wygrała rekord znudzenia.

P. Zawadzki w roli Skalinieckiego — Frazesowicza był doskonały i raz jeszcze stwierdził wysokie mniemanie, jakie mamy o talencie tego nieco kapryśnego jednak artysty. Charakteryzacya tylko może była nie dość staranną i nie zupełnie odpowiadała roli.

Panna Przybyłkówna była doskonała w roli Janiny — podlotka, p. Siemaszko znakomicie odegrał rolę bankiera Sterna.

WŁ. ST. REYMONT.

O ZMIERZCHU.

»Sokół« leżał umierający.

Wiele, wiele dni już tak przeleżał.

Zachorował, więc go rzucono jak niepotrzebny kawał ścierwa.

Dobrzy ludzie nie kazali go dobijać, pomimo iż skórę miał bardzo piękną.

Dobrzy ludzie pozwolili mu zdychać zwolna, w samotności i zapomnieniu —

Dobrzy ludzie, tylko czasem go kopali, aby mu przypomnieć, że kona za długo.

A po za tem nikt się nim już nie zajmował.

Czasami odwiedzały go psy myśliwskie, z którymi kiedyś gonił »par-force«.

Ale psy mają dusze spodlone życiem z ludźmi, więc na każdy głos panów, uciekały od niego, — pozostawał tylko dłużej »Łapa«, stary i ślepy wyżeł, towarzysz najdawniejszy, ale ten drzemał pod żłobem, bo go nudził ten chory koń i przestraszały jego ogromne oczy pływające we łzach, oczy żebrzące o ratunek, oczy przesmutne —

Sokół pozostawał sam.

Odwiedzały go tylko dnie; przychodziły różowo-złote, upojone żarem, rozśpiewane weselem i lizały ciepłymi językami promieni, jego bok zraniony; przychodziły i szare, smutne o zielonych twarzach, po których deszcz spływał; przychodziły srogie, o bolesnych, zimnych uwitych z wichrów i chmur głowach; przychodziły i smutne, rozjątrzone i napełniały stajnie płaczem — a każdy długo patrzył w jego oczy — a każdy odchodził cicho, jakby z trwogą.

Sokół bał się tylko nocy.

Czerwcowych nocy, krótkich, a tak dusznych, tak okropnie cichych, tak pełnych strasznych niepokojów, tajemnic i trwogi — czerwcowych nocy.

W takie noce wiedział, że umiera, szalał ze strachu, zrywa, się z łańcuchów, rozbijał kopytami ściany, chciał uciekać, uciekać —

Pewnego dnia, po południu, zerwał się na nogi, długo patrzył w smugi słońca, które się lały przez szpary ścian i zaczął rżeć długo, żałośnie —

Żaden głos mu nie odpowiedział w tej ciężkiéj i sennej ciszy upalnego dnia.

Jaskółki przelatywały ze świergotem, szczebiotały po gniazdach, uwieszały się ścian, to jak strzały pierzaste przecinały złote roje much, brzęczących w świetlistych pasach.

A od łąk dalekich, dalekich — drgał ostry, bolesny brzęk kos

A od pól, od morza zbóż, od morza kwiatów płynęły słoneczne chrzęsty.

Tylko tutaj, dokoła niego, leżało bezmierne, przerażające milczenie — —

Zadrżał, bo jakiś głuchy, oddalony tentent, rozległ się w głębi zbliżał się coraz bardziej, i co raz straszniej huczał w pustej stajni! — — —

Ciemna, ohydna trwoga wgryzła mu się w serce, rzucił się oszalały, zerwał łańcuch i wybiegł na dziedziniec.

Oślepiło go słońce, a ból dziki rozrywał mu pazurami wnętrzności, że stał długo ze spuszczoną głową, nieprzytomny. Aż ochłonął nieco i zwolna, zwolna budziły się w nim jakieś przypomnienia, jakieś niejasne zarysy pól, łąk i lasów; wstawała w nim niezmożona tęsknota ucieczki, tęsknota przestrzeni, tęsknota życia.

Kierowany tym głuchym instynktem, zaczął szukać wyjścia.

Obszedł czworobok podwórza, z trzech stron otoczony budynkami — ale wyjścia nie było, powracał znowu, szukał niestrudzenie, aż trafił na drewniane sztachety, po za któremi stał dwór.

Patrzył na wielkie trawniki, w których spały psy, na olbrzymie bukiety róż, kwitnących w pośrodku, na dwór błyszczący w słońcu oknami...

I rżał cicho, prosząc... żałośnie.

Cierpiał coraz srożej, niepokój nim władnął, strach nim rzucał, ból go szarpał.

Więc choć słaniał się na nogach, chociaż każdy ruch sprawiał mu nieopisaną mękę, chociaż krew ciekła strumieniami

z podrażnionej rany, szukał znowu wyjścia i znowu stawał, kładł głowę między sztachety i krwawemi oczami patrzał na dwór.

Jednego słowa dobrego, jednej pieszczoty ludzkiej łaknął, a byłby położył się i skonał.

Pusto było dokoła, cicho i sennie.

Zaczął rozpaczliwie gryźć drzewo, szarpać zębami bramę, łamać sobą, wyrywać, aż się otworzyła, że przeszedł i poszedł prosto do ganku..

Nikt nie usłyszał jego rżeń żałosnych, stał długo, patrzył w przysłonięte okna, próbował wejść na schody, obchodził dwór ze wszystkich stron.

A potem jakby nagle zapomniał o wszystkiem, zobaczywszy wolną przestrzeń przed sobą, roztocze zbóż i pól.

Potykał się, słaniał, a szedł niezmordowanie zahypnotyzowany ogromem przestrzeni.

* * *

Wiosna spiewała wszystkiemi rytmami potęgi.

Wyrosłe zboża falowały płowemi kłosami, szumiały jak morze po żwirach wybrzeży i jak morze kołysały się w monotonnym rytmie. Skowronki wisiały w czystem powietrzu i dzwoniły srebrnymi hymnami. Zapachy gryk, koniczyn, zbóż — tęczowemi falami kołysały się nad ziemią. A niżej tuż przy ziemi, w trawach, w kwiatach, w puszczach żytnich, spiewał swój hymn wesela ocean stworzeń wszelkich. Wiatr miękki, ciepły, pieszczotliwy tarzał się po ziemi, otwierał kwiaty, pławił się w wodach, kołysał na młodych pękach wierzb, przewalał się w tumanach pyłów kwiatowych, huczał wesoło po lasach i dorzucał swój słodki, fletowy głos do ogólnej harmonii.

Przyroda spiewała wszystkimi głosami, ogromną, przepotężną pieśń wesela, upojenia, życia.

A od łąk tylko dochodziły zgrzytliwe, ostre, bolesne brzęki kos.

Sokół zadrżał, przebudził go z upojenia ból, straszny, dziki ból, aż mu sierść się zjeżyła, a oczy pokryły białawą mgłą męki; dyszał ciężko, lizał trawy, chłodził nozdrza rozpalone gorączką, pić mu się chciało, a pchał go naprzód ten sam strach ciemny, ta sama niezmożona tęsknota ucieczki.

Szedł przez zboża, tylko coraz ciężej, coraz wolniej, coraz senniej — potykał się o zagony, trawy oplątywały mu nogi i cią-

gnęły, krzaki zagradzały przejścia, ziemia zapadała się pod nim, czasem zboża zasłaniały świat.

Jego biedna, ślepa dusza zapadała coraz głębiej w noc pełną grozy i strachu.

Nic już nie poznawał, wszystko go przerażało, szedł jak w tumanie, oślepły, nieprzytomny, oszalały trwogą.

Kuropatwa, która wiodła młode, wyrwała mu się z pod nóg z takim krzykiem, że uskoczył w bok i potem długo patrzył po zbożach i ruszyć się nie śmiał.

To zające trwożyły go śmiertelnie, że uciekał oślepły ze strachu.

To wrony przebiegały cichym lotem nad zbożami, ale gdy go spostrzegły usiadły na gruszy i krakały długo i złowrogo —

A on drżał cały, jego aksamitną białą skórę przebiegały śmiertelne dreszcze.

Wydostał się wreszcie na łąki i śmiertelnie zmęczony upadł pod ścianą żyta, wyciągnął nogi, głowę przytulił do traw i wpatrzony w pustynię nieba jęczał żałośnie, jęczał litości —

Wrony sfrunęły z drzew, podskakiwały wśród traw i były coraz bliżej, bliżej... bliżej...

Zboża przechylały się nad nim i patrzyły czerwonemi sercami maków i zgniłemi, przerażającemi sercami rumianków.

Wrony były coraz bliżej; ostrzyły dzióby o kretowiska, szły rozsypane, zabiegały ze wszystkich stron, podskakiwały z pazurami gotowemi do darcia, to przelatywały nad nim z cichym, łupieżczym krzykiem, a tak nisko, że widział ich straszne, okrągłe oczy i zakrzywione dzióby wpół otwarte.

Ale nie mógł uciekać, zaczął majaczyć w przedśmiertnej gorączce.

Zrywał się, bo mu się wydało, że poczuł ludzką rękę na szyi... wyciągnął język i lizał jakby czyjąś rękę... wyprężył się... ktoś go głaskał pieszczotliwie... zaczął niecierpliwie bić nogami... zdało mu się, że idzie... że jest w polu... strzygł uszami... psy grają.... wie co to znaczy... rusza z miejsca... pędzi już... wyciąga się jak struna... dotyka brzuchem ziemi... ani płoty, ani rowy go niepowstrzymają... z wichrami w zawody... dalej... szybciej... prędzej... Uczuł ostrogi w boku... wytęża wszystkie siły... Rży cicho... ta szalona roskosz biegu ze wszystkich sił... za psami, które grają coraz ciszej... co raz dalej... co raz niewyraźniej...

Ból nim szarpał tak straszny, aż zaskowyczał dziko i porwał się na nogi.

Wrony z krzykiem odleciały.

A on nic już nie poznawał, nic nie rozumiał, patrzał tylko z przerażeniem, że wszystko się chwieje, porusza, zapada... Łąka biegła ku niemu szybko, szybko... Odskoczył kilka kroków, ale tutaj znów zboże biegło ogromną falą, zapadało, wznosiło i szło, szło wciąż z krzykiem głuchym...

Uciekał przed siebie... las stał przed nim, ogromny, czarny, straszny, zginał się, pochylał się wolno, groźnie... jeszcze chwila, a runą na niego olbrzymy i zdruzgoczą.

Ogarnęło go szaleństwo, uciekł w łąki, bo usłyszał dalekie głosy ludzkie, biegł ku nim, ale coraz wolniej, bo zapadał w bagna i moczary, bo zagradzały mu drogę rowy głębokie, bo przerażały go wody rdzawe, zgniłe, pełne błota i żab, które rechotały głucho, posępnie...

A potem zagrodziła mu drogę rzeka, już nie miał sił, upadł nad brzegiem i zapomniał o wszystkiem.

Już się nie bronił nawet od much. Już nie uciekał, nie zrywał się, nie szamotał, tylko położył łeb i jęczał z bolu. Dygotał tylko w sobie ohydnem, niewypowiedzianem drganiem strachu.

* * *

Słońce zaszło, szary, ciężki zmierzch rozlewał się zwolna, szedł od lasów, czaił się pod krzewami, czołgał wśród zbóż i powiewał nad łąkami zgrzebną, wilgotną płachtą mgieł.

Ostatnie blaski niby konające spojrzenia, drgały trwożnie, czepiały się barw, lśniły na liściach, lizały wody, przebiegały w przestrzeń i konały rozszarpane przez zmierzch.

Stała się przerażająca cisza letniego wieczoru. Cisza pełna grozy stłumionych jęków, aromatów śmiertelnych, zduszonych krzyków, walki i mordu w przyrodzie.

Zmierzch zapanował, kontury nocy przepadły, barwy rozlały się w szarości brudnej, w mrokach przerażających.

Widma wszystkiego, kołysały swoje potworne a nierozeznane kształty nad ziemią.

Sokół rzucił się nagle ostatnim, rozpaczliwym ruchem, potem przypadł na przednie nogi i oczami rozszerzonemi przez obłęd, patrzył w zmierzch; tam, gdzieś, daleko, w mrokach, galopowało straszne widmo śmierci; — świecący białością szkielet konia olbrzymiego. — Szkielet wyłaniał się z mroków, słychać było głuche tententy i ginął na chwilę, i zjawiał się znowu, coraz

bliżej, a pomiędzy jego żebrami, tysiące wron kłębiło się z dzikim krzykiem i wysuwało ostre dzióby, a na nagiej, długiej czaszcze, siedział olbrzymi kruk, chwiał się, łopotał czarnemi skrzydłami i krakał złowieszczo —

Sokół rżał ostatkami sił, jęczał, gryzł ziemię, rozpłaszczał się ze strachu, wył dziko, a widmo było coraz bliżej, bliżej, bliżej —

Z daleka odezwał się głos psa.

To Łapa przybiegł do przyjaciela, ale Sokół już go nie poznał.

Pies lizał go, szarpał, szczekał, potem zaczął jakby wołać ludzi, wybiegał w łąki, powracał, drapał ziemię, wył o ratunek.

A Sokół przewrócił się na wznak i konał.

Trawy cicho zaglądały mu do otwartych oczów, drzewa przybliżały się bliżej i wyciągały ostre, strzępiaste apzury gałęzi, łąka szumiała złowrogo, ptaki pomilkły, woda przycichła w bełkocie, tysiące robactwa czołgało się do niego, tysiące szczęk, ssawek, nóg, wyciągało się ku niemu; cała żywa, tryumfująca przyroda, z zapartym oddechem, w tumanie zmierzchu przyglądała się oczami gwiazd — tylko tentent był coraz wyraźniejszy, krakanie wron coraz straszniejsze, a widmo coraz bliżej, bliżej.

Pies najeżył sierść ze strachu, zaskowyczał dziko i począł wyć, długo, strasznie, rozpaczliwie.

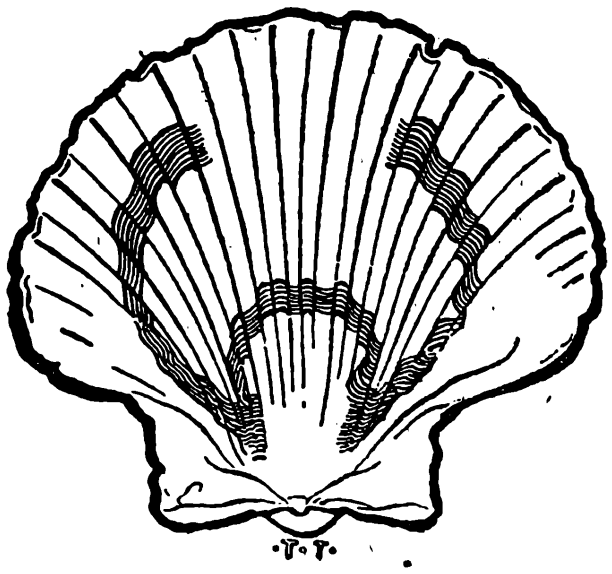

WASYL STEFANYK.

SAMA SAMIUTEŃKA.

W chacie wygiętej i zgarbionej, jak przywalony chrząszcz, leżała baba. Worek miała podłożony pod grzbietem, a czarną twardą poduszkę pod głową. Na ziemi, koło baby leżał kawałek chleba i stał dzbanek z wodą. Dzieci, idąc na robotę, zostawiły to dla niej, aby miała co jeść i pić. Bieda była, i nie sposób było dla babki coś lepszego wyszukać. Siedzieć zaś koło chorej w czas tak gorący, Bóg widzi — niepodobna było.

W chacie brzęczały muchy. Siadały na chleb i jadły go, właziły do dzbanka i wodę piły. Nasycone siadały na babę. Lazły do ust, do oczu. Stara stękała, ale much odegnać nie mogła.

Leżała na ziemi i wpatrywała sią błędnemi oczami w krzyż, wyrznięty nu powale. Z trudem rozchylała spieczone wargi i zbielałym językiem je zwilżała.

Przez szyby wpadało światło słoneczne. Barwy wesołe mieniły się na pomarszczonej twarzy. Straszna było spojrzeć na starą w tem oświetleniu. Muchy bzykały, różnobarwne światła pełzały po babie razem z muchami, a ona tylko mlaskała wargami i biały język wysuwała. Chata podobną była do pieczary zaklętej z jakąś wielką grzesznicą, która karaną jest od początku świata i do dnia sądnego karaną być winna.

Gdy słońce spełzło z baby aż do nóg, gdy upadło koło motka, którym worek był związany, stara zaczęła się tarzać po ziemi i dzbanka szukać.

Oh! Oh! Oho!

Baba ucichła; tylko ręką odpędzała jeszcze mary.

Z pod pieca wypadł czart z długim ogonem i siadł koło baby. Baba z trudem odwróciła się odeń. Wtedy czart przesiadł się znów naprzeciw niej. Wziął ogon do ręki i zaczął nim babę po twarzy głaskać. Baba mrugała tylko oczami, zacisnąwszy zęby.

Nagle wyleciala z pieca chmara małych dyablików. Zawisły nad babą, jak szarańcza nad słońcem, lub stado wron nad lasem. Potem spadły na babę. Załaziły do uszu, do ust, siadały na głowie. Baba broniła się. Wielkim palcem dotknęła średniego i chciała je tak podnieść ku czołu, aby przeżegnać się. Lecz dyabliki siadały wszystkie razem na rękę i nie pozwalały krzyż nad sobą uczynić. Stary dyabeł pogroził babie, aby próżno żartów nie robiła.

Baba długo zmagała się z nimi, ale przeżegnać się nie potrafiła. W końcu czart objął babę za szyję i zaryczał tak, że baba zerwała się na kolana i twarzą ku oknu upadła.

Zewsząd teraz lecieli na nią jeźdzcy. W zielonych sukmanach, z lulkami w zębach, na koniach czerwonych. Już, już nastąpili, już ze starą amen! Zamknęła oczy. Ziemia w chacie rozwarła się, a baba stoczyła się w tę szczelinę i spadała ku dołowi. Leciała wciąż na dół a na dół. Gdzieś na dole czart chwycił ją, zarzucił na siebie, i pomknał z nią, jak wicher. Baba szarpnęła się i głową uderzyła o stół.

Pociekła krew, stara zachłysnęła się kilkakroć i umarła. Głowę przechyliła koło nogi od stołu, i rozwartemi martwemi oczami z ukosa poglądała na chatę. Czarty przestały harcować, tylko muchy z rozkoszą lizały krew. Pokrwawiły sobie skrzydełka i coraz więcej w chacie było much czerwonych.

Siadały na czarnych garnkach pod piecem, i na miskach, na których wymalowani byli jeźdzcy w zielonych sukmanach z lulkami w zębach. Wszędzie roznosiły z trupa krew.

(Tłom. z ruskiego J. S.).

ANDRZEJ STOPKA.

ZDEKŁE.

He, zjeć kwała Bogu, panowie jezdzom do nos i bez mała bedom jeździć nie małe roki, bo to dzisiok sendyj wolno im po górak hodzić i nika ni majom przeskody nijakiej. Ale jo tak uwazujem, jeze to ino do casu, bo jak wtory natrafi na takie miejsce, co sie Zdekłem naziwo, to bedzie bieda i takiego pokoranio dozno, jeze sie dziesiąty bedzie wiedzioł pilnować, coby sie i jemu co takiego złego nie stało.

Umre zaroz, jak ino w to miejsce przińdzie, kany to złe miejsce jes. A kaby ono było w górak to nik ani jo, ani zodyn przewodnik ani hłop zwycajny nic bec o tem wiedzioł.

Był roz taki wieldrażny niedźwiedź i straśnie mu dobrze było, bo se zbojowoł po sałasas, krod, bieł i jod owce, kany i kielo wcioł. Jaze co nie namyśloł, nie rod sie straśnie dropoł, a mnohenko na sobie gawiedzi róznej w kudłak mioł. Juści pado Poniezusowi tak:

— Dajze mi Panie Boze takiego léku, cobyk sićkie kudły potracieł i nagi ostoł.

A Poniezus mu tak pado:

— Jakoz ci dom takiego léku, kiedy jak ci kudły opadnom, tozto ci bedzie zimno w zimie.

— O to nimas strahu — pado niedźwiedź, bo owiec po sałasak doś, to kie bedzie zimno, to se weznem skóre lebo sukna wełnianego i bedem sie odziewoł jako i juhasi.

— To co inksego — pado mu Poniezus, bo to człek, a jo człeka rocej widzem, jak ciebie, bo kiek stworzoł dźwierze, tok se ino ozkozoł i stało sie, a człeka tok musioł som z gliny urobić, i urobiełek se takiego, jakiegok kcioł, tozto mi sie straśnie widzi.

— No to, kie człek taki dobry, a jo taki zły, to jo se pudem do djaska — pado niedźwiedź — i bedem go pytoł o to jakie ziele.

Idź! pado Paniezus, i niedźwiedź poseł.

Przihodzi niedźwiedź do piekła i stanon se z daleka, bo go piekło i jaze zawołoł, co kce, a dyasek Jancikryst, co królem w piekle i nowićzniejsim gazdom jest, tak mu pado:

Widzis, tu ci dajem ziele, co sie małmazijom naziwo i jak ino bedzies kcioł, to se z tego ziela kondek weźnies, zawinies do smatecki i utłuces, a po te zjes to ze świstacim sadłem.

I głupi niedźwiedź usłuchoł, bo roz, kiego duzo mrowia obsiadło i zacyno gryść, wte co nie robi, zjod troche małmaziji. Ale zaroz go zacyno cosi na wnuku boleć. Tozto jon gonić i dziwować, prać sie po ziemi co raty przeraty, jaze zalecioł na okropnom pustać, ka ino stare sałasisko i duzo wykrotów było.

Tam prasnon sie kielo długi i zacon sie wyciongać. Jaze zdek.

Prziśli juhasi, co by go zabrali, ale tyz pogineni.

I prziśły rysie, coby chłopów zjadły, ale pozdychały. i prziśły hawranie, coby dziubać one rysie, ale tyz musiały zdechnąć.

Itak zdychało moc ptoków i dźwierzi w onem miejscu, jaze zasmrodzili całe to miejsce i juz tam dziś nik nie hodzi na tyn smentarz, bo kieby oto sie odwożył, toby na miejscu umar, lebo zdek. To juz tam z telów sicko uciekajom i nimas nikogo, w toby o tem miejscu wiedzioł.

Ale sie nondzie taki cłowiek, co na to miejsce natrafi i pudzie ku niemu, a ono go zarazi i on umre.

I jak sie, moi piekni, ślicni, pokohani panowie o tem dowiedzom, to zaroz sićko pouciekajom, bo oni straśnie sie śmierci radzi bojom.

Redaktor odpow. i wydawca: **Władysław Theodorczuk.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.